

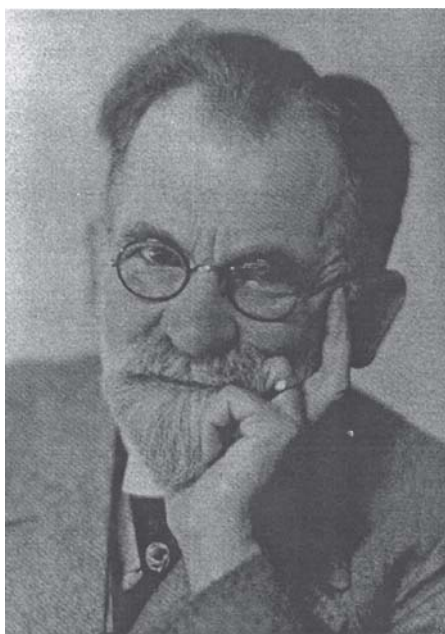
Fedor Sommer

Rokokowy sekretarzyk i inne opowiadania



KARKONOSKA PAŃSTWOWA
SZKOŁA WYŻSZA
w Jeleniej Górze

Rokokowy sekretarzyk
i inne opowiadania



Fedor Sommer.

KARKONOSKA PAŃSTWOWA SZKOŁA WYŻSZA
w Jeleniej Górze



Fedor Sommer

Rokokowy sekretarzyk i inne opowiadania

przełożył i wstępem opatrzył
Józef Zaprucki

Jelenia Góra 2011

RADA WYDAWNICZA
KARKONOSKIEJ PAŃSTWOWEJ SZKOŁY WYŻSZEJ

Tomasz Winnicki (przewodniczący), Grażyna Baran, Izabella Błachno,
Aleksander Dziuda, Barbara Mączka, Kazimierz Stąpór, Józef Zaprucki

Tytuł oryginału: *Das Rokoko-Pult und Anderes*

Redakcja: Józef Zaprucki

Konsultacja i korekta: Maria Suchecka

Projekt okładki: Barbara Mączka

Przygotowanie do druku: Barbara Mączka

Druk i oprawa: Drukarnia Cyfrowa, ul. Jana Łaskiego 11, 62-200 Gniezno

Tłumaczenie niniejszych tekstów sfinansował Śląsko-Górnoluzyczny Związek
Muzeów ze środków Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Saksonii

© Copyright by Karkonoska Państwowa Szkoła Wyższa w Jeleniej Górze

Wydanie I

Wydawca:

Karkonoska Państwowa Szkoła Wyższa w Jeleniej Górze,
ul. Lwówecka 18, 58-503 Jelenia Góra

ISBN 978-83-61955-10-8

Niniejsze wydawnictwo można nabyć w Bibliotece i Centrum Informacji
Naukowej Karkonoskiej Państwowej Szkoły Wyższej w Jeleniej Górze,
ul. Lwówecka 18, tel 75 645 33 52

Spis treści:

Wstęp	str.	7
Rokokowy sekretarzyk	str.	12
Na Wangu	str.	73
Staromodny człowiek	str.	81

Wstęp

Pojęcie literatury regionalnej może kojarzyć się z dokonaniem literackimi, które rzekomo zazwyczaj nie reprezentują wyższych wartości estetycznych; nie musi to jednak wcale oznaczać mniejszej wartości tej literatury dla rynku wydawniczego. Na pewno niejednemu czytelnikowi, wychowanemu u podnóża Karkonoszy, trudno byłoby sobie wyobrazić, że światem przedstawionym jakiegoś hitu książkowego mogłaby być na przykład Jelenia Góra, Szklarska Poręba, Karpacz czy Mysłakowice.¹ A jednak! Rozważania te ciągle jeszcze muszą dotyczyć historii par excellence, bowiem pisarz, który takie właśnie hity – ich tłem było otoczenie Karkonoszy wraz z tymi właśnie miejscowościami – napisał, był Niemcem, jeleniogórzaninem, stworzył je przed II Wojną Światową, często sięgając do zamierzchłej historii regionu. Mowa tu o Fedorze Sommerze (1864 – 1930), niemalże rówieśniku Gerharta Hauptmanna, reprezentującym jednakże typowy dla „Regional-literatur” epigonizm, który absolutnie nie przystawał do krzykliwych

¹ Szklarskiej Porębie poświęcił pisarz powieść „Obcy ludzie” („Die Fremden”: 1910), Jeleniej Górze „Między murami i wieżami” („Zwischen Mauern und Türmen”: 1927), Mysłakowicom „Zillertalczycy” („Die Zillertaler”: 1925), zaś Karpaczowi zamieszczone w niniejszym tomie opowiadanie „Na Wangu” („Auf Wang”: 1913).

nowinek stylów literackich tamtego okresu, promowanych między innymi przez Noblistę z Jagniątkowa i jego przyjaciół, pisarzy naturalistycznych przybyłych z Berlina i osiadłych w „kolonii artystycznej” w Szklarskiej Porębie.

Literacka droga Fedora Sommera rozpoczęła się pod koniec dziewiętnastego wieku, w czasie największych sukcesów naturalizmu, wobec których ten pisarz pozostał jednak niewzruszony. Jego pierwsze liryczne i dramatyczne² utwory powstały w manierze romantycznej, przy czym nie da się tu nie zauważyć wpływu innego Ślązaka, słynnego niemieckiego romantyka, Josepha von Eichendorffa. Zafascynowanie romantyczną, a później bliską realizmowi poetyckiemu formą, będzie towarzyszyć także jego prozatorskim utworom, których tłem jest społeczny, architektoniczny, historyczny i naturalny krajobraz Śląska. W swej obszernej twórczości, obejmującej wiele powieści i nowel, opiera się Sommer w dużej mierze na własnych przeżyciach, przez co jego proza z pierwszych trzech dekad dwudziestego wieku ma zdecydowanie biograficzny charakter. Życie tego pisarza kojarzy się z wielkimi niemieckimi romantykami, bowiem charakteryzują je nie tylko liczne podróże, wynikające z żądzy poznawania, lecz także związana z tym tęsknota za bezkresną dalą, odciskająca głębokie piętno na jego twórczości.

Pisarz urodził się w 1864 roku w dolnośląskim miasteczku Dobromierzu niedaleko Strzegomia. Jako że już od wczesnej młodości zdradzał Sommer inklinacje nauczycielskie, po ukończe-

² Napisany w manierze pieśni dworskiej epos „Pokój pod Górą” (Der Friede am Berge) poświęcony historii powstania ojczystej miejscowości Sommera, Dobromierzowi (Hohenfriedeberg) powstał w 1890 roku, zaś dramaty „Gielana” i „Pestalozzi w Stans” kolejno w 1892 i 1894 roku.

niu szkoły podstawowej w rodzinnej miejscowości zdecydował się podjąć naukę w bolesławieckim seminarium nauczycielskim. Pierwsze zatrudnienie znalazł w roku 1884 w preparandzie (Reichenbach) na Górnych Łużycach. Po złożeniu w Berlinie egzaminu na nauczyciela szkoły średniej powrócił na Śląsk i pracował w seminarium nauczycielskim w Legnicy. W roku 1901 został przełożonym Królewskiej Preparandy Nauczycielskiej w Kowarach, skąd przeniósł się do Strzegomia na podobne stanowisko. W roku 1921 został powołany na radcę szkolnego w Gransee (Brandenburgia), gdzie przepracował tylko jeden rok, po czym dręczony nostalgią znów powrócił na Śląsk. Tu otrzymał posadę radcy szkolnego w Bolkowie. W roku 1925 Sommer odszedł na emeryturę i przeprowadził się do Jeleniej Góry, gdzie zamieszkał u swojej córki Lotty, oddając się bez reszty pracy literackiej. To właśnie tu powstał wspaniały literacki, historyczny konterfekt tego miasta, obszerna powieść³ „Między murami i wieżami”. Pisarz przedstawił w niej obraz osiemnastowiecznej Jeleniej Góry, budowę Kościoła Łaski (dziś Kościół Garnizonowy), napięcia między protestantami i katolikami oraz wkroczenie wojsk Fryderyka Wielkiego i zajęcie Śląska. W tym miejscu należy wyrazić nadzieję, że również i ta pozycja zostanie wkrótce przetłumaczona, by ta regionalna literatura stała się dostępna również dla dzisiejszych jeleniogórzan, jest ona bowiem bogatą kopalnią wiedzy historycznej o naszym ojcystym regionie.

Prezentowany zbiór opowiadań ukazał się w wersji oryginalnej w 1913 roku w Halle i zawierał trzy utwory dające jakby panoramiczny

³ Fedor Sommer: *Zwischen Mauern und Türmen*, Halle 1928 (książka doczekała się jeszcze trzech wydań, ostatnie w 1949 roku).

przeгляд możliwości pisarskich Sommera, ale rzucających także światło na pisarskie credo ich autora: jest nim głęboka analiza psychologiczna postaci działających w magicznej niemalże synergii z zastanym otoczeniem socjalnym, architektonicznym i przyrodniczym. Kiedy dzisiaj bierzemy do ręki teksty, które powstały przecież około sto lat temu, to czytając je nie możemy oprzeć się wrażeniu, że to wszystko też nas dotyczy, bo przecież wyrosliśmy z tego samego otoczenia, przynajmniej architektonicznego i przyrodniczego, co autor. Doświadczamy uczucia przedziwnego *déjà vu*, które potęguje się przeważnie wtedy, gdy czytamy o różnych zachowaniach bohaterów, tak bardzo korespondujących z tym regionem i również z naszymi własnymi zachowaniami, że niejako bezwiednie chciałoby się poprzeć tezę o przemożnym wpływie regionu na kształtowanie kultury ludzkiej, którą w swoim czasie lansował, skądinąd kontrowersyjny, nacjonalistyczny germanista, Joseph Nadler⁴. W prezentowanych tu krótkich tekstach spotka czytelnik również rozterki religijne, które przecież i dzisiaj często nam towarzyszą, a co do których raczej trudno byłoby pomyśleć, iż mogli ich doświadczać sto lat temu bohaterowie Fedora Sommera, znanego z ascetycznego trybu życia i głębokiej religijności. W tytułowym opowiadaniu „Rokokowy sekretarzyk” pisarz przedstawia ciekawą dyskusję z filozofią postrachu ówczesnych „ortodoksów”, mrocznym sceptykiem, Arturem Schopenhauerem. Co zastanawiające, autor nie daje tu wcale jednoznacznej odpowiedzi, kto ma rację. Zatem lekturę tę można by zalecić wszystkim, którzy chcą nie tylko czytać, ale i filozofować.

⁴ Por. Joseph Nadler: *Literaturgeschichte des deutschen Volkes (Historia literatury narodu niemieckiego)*, Berlin 1938.

Wiążąca się z wydaniem tego oto niewielkiego tomiku opowiadań płaszczyzna tematyczna wydaje się niezwykle rozległa i pozwala nie tylko snuć dywagacje na tematy związane na przykład z kulturą interferencją w kształtowaniu naszej tożsamości regionalnej, ale skłania także do zastanowienia się, czy tego typu literatury odziedziczonej nie należałoby wykorzystać jako osobnego przedmiotu w edukacji⁵ młodzieży dotyczącej historii – i nie tylko – ojczystego regionu: poznawanie regionu na podstawie źródeł literackich daje lepsze efekty, niż tylko „suche” uczenie się dat na pamięć. A te efekty to przede wszystkim wytworzenie uczucia identyfikacji z własnym regionem, pewnego regionalnego patriotyzmu, którego brak dzisiaj przecież często odczuwamy.

⁵ Por. Józef Zaprucki: *Substrate und Interferenzen in der Formierung der regionalen Identität als Materialgrundlage für ein innovatives Studienfach (Am Beispiel des literarischen und kulturellen Erbes in Schlesien)*, [w:] Zdzisław Wąsik (red.) *Consultant Assembly III: In Search of Innovative Subjects for Language and Culture Courses*. Wrocław 2010, s. 113.

Rokokowy sekretarzyk

Jutro ukończę mój pięćdziesiąty rok życia. Już trzydzieści lat param się zawodem tak zwanej „wychowawczyni” dzieci u obcych ludzi. Takie jest zatem moje powołanie, by zaprowadzać jasność w głowach i sercach. A jednak, kiedy spoglądam wstecz na własne życie, to muszę wyznać: jestem osobą, która zawsze żyła jakby w półśnie.

Nie zamierzam przytaczać na tych stronach mego całego życia: nie potrafię go ogarnąć. Moją całą uwagę poświęcałam zawsze szczegółom. Teraz wiem to już bardzo dobrze. Obok zatem jak wielu zdarzeń, tak jak obok wielu kwitnących kwiatów, mogłam być przejść obojętnie. Tylko to najważniejsze, najgłębiej schowane w sercu chcę wypowiedzieć, bowiem to, co leżało po drugiej stronie tej krótkiej drogi, którą mam jeszcze raz odbyć, teraz za pomocą pióra, skryło się jak jakaś bezkształtna kraina mgieł za czymś, co na krótko i oślepiająco rozbłysło przede mną, a to, co jest po tej stronie, można zbyć jednym zdaniem: nie warto o tym wspominać, tak jak i nie warto było tego przeżywać. Jednakże na tamtą niedługą chwilę, w której żyłam naprawdę, spoglądałam często wstecz jak zaczarowana, widzę ją więc teraz wyraźnie przed sobą w każdym szczególe. Teraz muszę uchwycić to mgnienie w słowa; i choćby tylko dla mojej własnej bolesnej pociechy, że to, co zaszło, nie mogło skończyć się inaczej, niż się skończyło.

Był to jeden z tych letnich dni, które tak chętnie przepędzałam na marzeniu. Leżałam w hamaku w moim ulubionym zakątku: na skraju jodłowego lasu, który piał się stromo po zachodnim zboczu naszej kotliny, ukazując rześko sterczące wierzchołki drzew. Nade mną lekki wiaterek poruszał wolno gałęziami, otoczonymi poświata młodych, jasnozielonych igieł. Mój wzrok przebijając się przez te zawirowania zieleni, gubił się w głębokim błękitcie nieba, jak gdybym w zamyśleniu brodziła w bezkresnych ciepłych wodach. Wokół kwitnących krzaków jeżyn słychać było brzęczenie tysiąca cichutkich głosów, a po drugiej stronie trawiastej równiny ćwierkała w rosnącej na zapadniętym wapienniku brzozie para ptaków, co do której wtedy nie bardzo wiedziałam, czy była w sobie zakochana. Moje dwie białe owieczki szły, pasąc się cicho, przez zieloną równinę.

Krótko mówiąc: była to chwila jakby stworzona dla mnie, chwila, w której wegetuje się rozkosznie niczym roślina bez przymusu świadomego życia. Jakaż męka jest przecież dzisiaj to „świadome życie” i jak miło jest wibrować czasami w kolorach, formach i tonach niczym drobina i ciche echo! Podwójnie miło, kiedy (tak jak dzisiaj) ma się za sobą tydzień rzetelnej pracy.

Nie byłam bowiem nigdy leniuchem. Ani moje uczennice, które uczyłam od roku w hrabiowskim zamku po drugiej stronie gór, ani ich mądra matka, ani moi nauczyciele w dalekim stołecznym seminarium nie uwierzyliby, gdyby ktoś ujrzawszy mnie leżącą w hamaku, twierdził, że jestem leniwa.

O nie, marzyć i być gnuśnym, to dwie różne rzeczy; tam, gdzie miałam przed sobą jasne cele, szłam prosto w ich kierunku, nie oglądając się na nic. Jednak kiedy nadchodziły chwile wytchnienia od tej narzuconej jednostajności, jak te soboty i niedziele, które zawsze spędzałam u matki, uwolniona od wszelkich obowiązków,

to zanurzałam się wtedy w półsenne rozmarzenie jak w szlafrok; było to już od zawsze prawdziwą radością mojego życia. Być może spowodowały to szczególne warunki, w jakich wzrastałam. Wychowałam się w małej, zapomnianej leśniczówce, do której zaglądała przez okno tylko winna latorośl ze ściennego szpaleru. Ogródek kwiatowy, otoczony zielonym żywopłotem i trawiaste podwórko przed nim stanowiły jedyny świat moich dziecięcych lat. I choć leżąca za przełęczą wioska z naszym kościołem była oddalona tylko o dobry kwadrans drogi, to jednak nie można jej było od nas dojrzeć, zaś dźwięk dzwonów kościelnych zdawał się ledwo słyszalny. Bowiem obydwie leśne stromizny zamykające kotlinę z tej i tamtej strony i zmuszające płynący przez nią strumień, by opadając w dół wiał się jak zaskroniec, napawały mnie nieodmienne uczuciem, jak gdybyśmy ojciec, matka i ja wraz z parobkiem i dziewczką mieszkali na samotnej zielonej wyspie.

Wykonywana niegdyś, a teraz odświeżona sztuka guwernancka matki oddaliła ode mnie konieczność chodzenia do szkoły, pozbawiając jednocześnie wszelkiego kontaktu z rówieśnikami. Tak więc ojciec i jego psy myśliwskie byli moimi jedynymi towarzyszami zabaw. Ale najwspanialszymi.

To, co jako dziecko niejasno wyczuwałam, teraz już wiem: mój dobry, kochany ojciec pozostał dzieckiem pomimo swego okazałego wzrostu, długiego, siwego wąsa na modłę cesarza Fryderyka oraz głębokiego, dźwięcznego basa. Kiedyś wydawało mi się to całkiem zwyczajne, że w czasie długich, zimowych wieczorów, kiedy śnieg sięgał okien naszego domu, a sarny zaglądały przez okna do pokoju, ojciec godzinami bawił się ze mną, pozwalając, bym moimi małutkimi stópkami stawiała na jego wielkich stopach i obejmowała go za kolana, a on podrzucał mnie bezustannie w górę i w dół, śpiewając przy tym głębokim basem:

„Tam na zielonej błoni,
piękna grusza tam stoi
piękna grusza ma suknię z liści.”

Piosenka miała otepiająco jednostajną melodię, która pasowała jednak doskonale do zagadki, ciągnionej przez pierwszą strofę, a która brzmiała:

„Co jest jeszcze węń?”

„Najpiękniejszy pień!”

Teraz nadchodzi napięcie! Bowiem zaczyna się wyliczanka, wymagająca wielkiej uwagi i od strofy do strofy coraz bardziej frapująca, by w końcu oznajmić:

„Pierze na ptaszynie,
ptaszyna na jajku,
jajo w gnieździe,
gniazdo na gałęzi
gałąź na konarze
konar przy pniu
pień w ziemi!

tam na zielonej błoni,
piękna grusza tam stoi
piękna grusza ma suknię z liści.”

Jeszcze dzisiaj bezwiednie wstrzymuję oddech i potem wzdycham z ulgą, kiedy we wspomnieniu ojciec szczęśliwie już przedostał się przez ten tnący tekst i zawinął do portu spokojnego refrenu.

On jednak dziwił się zawsze widocznie, kiedy zadowoliliam się tylko trzykrotnym wieczornym powtórzeniem tej męczącej piosenki i pytał potem, chyba zaniepokojony, czy aby dobrze się czuję. Bywały

wieczory, szczególnie przed Bożym Narodzeniem, że wymuszałam na nim tę piosnkę aż sześć razy. I kiedy matka, zajęta właśnie pruciem czegoś tam, mówiła ze zniecierpliwieniem:

– Myślę, Karolu, że mógłbyś się w końcu zacząć bronić przed tym natrętem!

Wtedy on głaskał moje kędzierzawe włosy swoimi potężnymi dłońmi delikatnie jak muśnięcie powietrza i spoglądał na mnie swymi dobrymi, brązowymi oczyma, tak, jak Diana na ławce przy piecu. Ale matka wzdychała tylko:

– No, ciekawe, czy będziesz przez całe jej życie tak ją nosić na twych wielkich buciorach!?

I za każdym razem ojciec śmiał się tylko z cichym rozbawieniem z tej niezbyt delikatnej aluzji do jego ogromnych stóp.

O każdej porze dnia i roku wybieraliśmy się razem do lasu jak starzy gajowi. Często, kiedy siedziałam nad lekcjami w altance z wiciokrzewu, która przylegała od strony ogrodu do naszej leśniczówki, gwizdał na mnie potajemnie, bym z czystym sumieniem zostawiła wszystko i powędrowała z nim w zieloność i ciszę. Nigdy tego oczywiście nie robiłam, nie zapytawszy uprzednio mej surowej matki – nauczycielki o pozwolenie, ona zaś nigdy nie okazała się na tyle nierozsądna, by nam tego zabronić. Hej, jak szybko biegłam wtedy do jego pokoiku, gdzie on przewieszał strzelbę przez ramię i gwizdał na Dianę! Tryskając szczęściem przyciskałyśmy się do niego, ona do nóg, ja zaś po drugiej stronie do jego ramienia, kiedy schodziliśmy drewnianymi schodkami z przeszklonej werandy na ulicę, a potem zmierzaliśmy dalej obok starego wapiennika. Później skręcaliśmy w lewo do lasu, gdzie z boku, jak oko złoczyńcy spod nastroszonych brwi, połykiwało pomiędzy ponurymi topolami okragłe, czarne jak sadza lustro stawu w wapiennym wyrobisku; wtedy męczyłam ojca,

by szybciotko opowiedział jedną z tych mrozących krew w żyłach historii, które on w nieograniczonej ilości był zawsze gotów dla mnie wymyślić.

Potem w lesie milczeliśmy jednak, nawet jeśli nasze łązikowanie ciągnęło się godzinami. Nigdy też nie widziałam, żeby mój ojciec załatwiał wtedy jakieś sprawy jako leśniczy. Od pierwszego śniegu na Marcina ogarniała mnie przez te wszystkie lata dziecięce i dziewczęce jedna tylko myśl: Wigilia.

Jakież to było piękne rozmarzenie, kiedy siedziałam pomiędzy matką i ojcem w ciemnej łoży naszego wiejskiego kościółka, a tuziny światełek mrugały na mnie także tuzinami anielskich oczu z mroku kościelnej nawy i z empor, z chóru i z ambony! A kolęda „Cicha noc, święta noc” unosiła się w chłodzie zimowego kościoła i rozpałała niebiańskim ciepłem moje dziecięce, głęboko wierzące serce! A później jak na skrzydłach aniołów płynęłam między matką i ojcem przez wietrzne górskie siodło do naszej zaśnieżonej doliny i leśniczówki. Jak bardzo radowałam się w pokoiku ojca z prezentów pod choinką, które matka rozpościerała przed nami z wyrazem szczęścia, ale i dumy na twarzy, gdyż najczęściej były to efekty jej nigdy nieustającej pracowitości. Jednak szczytem mojej bożonarodzeniowej radości było wieczorne wyjście do lasu do karmnika dla zwierząt, do którego ojciec i ja od mojego ósmego roku życia nosiliśmy wspólnie świąteczną wiązkę siana. Ciągle jeszcze mam żywo przed oczami, jak matka przed pierwszym z tych wyjść na-ciągnęła mi na uszy ciepłą czapkę i założyła gruby płaszczyk, jak ojciec wziął mnie na ramię (bowiem śnieg był głęboki aż do kolan), drugą zaś ręką chwycił wiązkę siana i tak wyszedł w przepych księżycowej, srebrzystej zimowej nocy. To pierwsze wrażenie uległo z biegiem lat oczywiście wielu przeobrażeniom, jednak w swej istocie

pozostało takie samo i utrwaliło się we mnie jako obraz, który w swej świeżości, kolorach i wyrazistości nie znajdzie wielu podobnych w mej duszy.

Pewnego razu, a miałam wtedy już 17 lat, gdy odbywaliśmy ten zimowy, nocny spacer, moja dusza radowała się szczególnie: na nadchodzące święta Wielkiej Nocy miałam po raz pierwszy opuścić dom, by, jak moja matka, kształcić się na wychowawczynię. Tego wigilijnego wieczoru była pełnia i okrutny ziąb, marzłam do szpiku kości. Milczeliśmy jak zawsze podczas wyjścia do lasu. Rzucane przez nas cienie z ostro zarysowanymi konturami ślizgały się fioletowym odcieniem po białym śniegu przed nami. Ich brzegi obrębione były szerokimi, srebrzystymi paskami, tak więc płynęły te cienie jak gdyby unosząc się nad bladą powierzchnią równiny. Wydawało mi się, jakby razem z nimi unosiły się ponad wszystkim w tę świetlistą, wigilijną noc nasze byty, mój i mojego, w swej istocie tak do mnie podobnego ojca. Wszystko było przecież tak białe i tak czyste, tak świetliste i ciche wokół nas: zбочa łąk w swych jasnych szatach, wokół których obręb lasu tkął fioletowy bort purpury, jodły w swych śnieżnych sukniach, nawet samo lustro wapiennika ze swą połyskującą lodową płytą. Po drugiej stronie, na okragłej polance rozglądały się już za nami drżące sarenki, jadły ojcu siano prosto z ręki i kiedy umieścił resztę paszy w karmniku, wygłodniała zwierzyna rzuciła się na nią w mgnieniu oka. Kiedy wszystko już było zjedzone, pełne gracji zwierzęta odeszły ociężałym krokiem w głąb kniei, węsząc nozdrzami, czy aby nie ma jeszcze więcej siana. Odziany w kozuch ojciec objął mnie swym ramieniem, jakby chcąc mnie ochronić przed zimnem, i staliśmy tak jeszcze przez chwilę; wokół nas połyskiwanie diamentów, a nad nami mruganie gwiazd. Ale nasze dusze szybowwały w sfery wigilijnego marzenia, w których

przecież jest prawdziwy dom takich dusz, bowiem, tak myślę, zostały one tylko przez jakąś pomyłkę przywiązane do ciężkiej powłoki materialnego ciała. Delikatny ruch ramieniem dał mi do zrozumienia, że z powodu zimna czas już myśleć o powrocie. Tak samo jak się tu wspieliśmy, teraz milcząc schodziliśmy w dolinę. Dopiero przy samej werandzie ojciec zatrzymał się nagle i spojrzał lękliwie w moje oczy.

— Wanda — powiedział, zająknąwszy się, a głos jego drżał — moje ukochane dziecko! Cały rok prawie bez ciebie w lesie, jak mam to wytrzymać? — Wzruszyłam ze smutkiem ramionami. Nie mogłam mówić, bowiem nagle cała nagromadzona żalność ostatnich tygodni ścisnęła mi gardło.

Wtedy zmusił się do uśmiechu, który w swej wzruszającej nieporadności prawie rozerwał mi serce.

— Dobrze, już dobrze — pocieszał. — Pomyśl o długich feriach. A na Boże Narodzenie i tak będziesz z nami. — Głos załamał mu się przy tych słowach jak fałszywie wzięty ton na strunie. Ten obraz Bożego Narodzenia stanął mi nagle przed oczami w samym środku letniego upału, którego chciałam uniknąć, snując marzenia na kołyszącej się macie, gdy z drugiej strony, z gęsto zarośniętej wiciokrzewem altanki dotarł do moich ledwo rozbudzonych uszu podobny ton, jak spłoszony gołąb, uciekający, by się ukryć. I był to głos mojego dobrego ojca. Wiedziałam, że rodzice przygotowywali podwieczorek, który spędzaliśmy zawsze razem w soboty i niedziele, kiedy miałam wolne i przychodziłam do leśniczówki, by spędzać czas gawędząc z rodzicami w przytulnej altance.

Dlaczego dzisiaj matka mnie jeszcze nie zawołała do stołu?

Z na poły rozbudzonej ciekawości podsłuchiwałam rozmowę w altance, a basowy głos ojca docierał wyraźnie do moich uszu.

— Ależ na wszystkie skarby świata, mamulko — usłyszałam, jak mówił strwożonym głosem — trzymaj od nas z daleka tego obcego człowieka! Nasz piękny spokój! Pomyśl tylko!

— Całkiem słusznie — odparł znacznie ostrzejszym tonem twardy głos matki — twój spokój! To jest nasze domowe bóstwo! Jak wiele już mu poświęciliśmy!

Wyczułam wyrzut w jej głosie i zrobiło mi się żal ojca.

— Masz oczywiście rację, mamulko — przyznał zbity z tropu. — Byłoby lepiej, gdybym był inny! Z tym moim upodobaniem spokoju zawsze coś przegapiałem, począwszy od egzaminu na nadleśniczego.

— Nie to miałam na myśli. — rzuciła matka skruszonym głosem.

— Oczywiście, wiem mamulko! Ale to jest tak: jestem winny przez te moje niedbałości od samego początku, że już dwadzieścia lat albo i dłużej siedzisz tu w tej klitce jako zwykła leśniczyna, gdy tymczasem mogłabyś już dawno być panią żoną nadleśniczego, a może nawet radcy leśnego.

— Ach, daj spokój! To wszystko już za nami, a ty wiesz, że ja jestem zadowolona. Tutaj jednak chodzi o inne rzeczy. Wysłanie Wandy do seminarium nauczycielskiego wiele nas kosztowało. Nasze oszczędności się skończyły.

— No właśnie, czy to wszystko musiało tak się potoczyć? — rzekł nadąsany. — Czy nie mogliśmy jej raczej zatrzymać tu i cieszyć się nią, zamiast czynić celu życia z oczekiwania na tych kilka krótkich ferii i parę godzin w soboty i niedziele. I czy nie byłoby jej lepiej w zielonym lesie niż u tych zarozumiałych pałacowych panów?

— Tak, tak mówisz! Ale czy muszę za każdym razem zadawać to samo pytanie: co będzie, gdy zamkniesz oczy na zawsze?!

— No, wtedy byłabyś jeszcze ty i na pewno jakoś byś sobie poradziła!

— Ach tak! — matka wybuchnęła krótkim, nerwowym śmiechem.
— A jak miałabym niby sobie poradzić z tą małą renciną?

— Ach matuchna, nie wspominaj mi o tym! — zakrzyknął zniecierpliwiony. — Takie śliczne popołudnie! Posłuchaj tylko, jak brzęczą pszczoły! A ty opowiadasz o rencie i takich tam rzeczach! Proszę cię!

— Z tobą nie da się poważnie porozmawiać. — z gniewem odpowiedziała matka. — Byłeś i pozostałeś dzieckiem. Wróćmy do faktów! Zaproponowano nam, by przyjąć letnika. A w dodatku jest on bratankiem pastora Dorna!

— A jeśli nawet! Zdaje mi się, że samemu pastorowi też robi się gorąco, kiedy pomyśli o tym wielko-miejskim bratanku.

— Ach, dlaczego nie! Cała sprawa jest też intratna. Obliczyłam to sobie: przy obecnej cenie mogę zarobić dobre sto marek.

— Sto marek!

Jak pogardliwie zabrzmiały te słowa!

— To dopiero coś! Za sto marek będzie nam przeszkadzał ten człowiek.

— Sto marek na pewno warte jest tego trudu! — matka upierała się przy swoim. — A tych pieniędzy przecież bardzo potrzebujemy. Musimy pomyśleć o przyszłości Wandy. Co zrobimy, gdy na przykład trafi jej się jakaś dobra partia?

Tu ojciec przerwał jej ze śmiechem:

— No, matuchna, daruj sobie tę troskę: dla Wandy nie znajdzie się żadna dobra partia!

— A to niby dlaczego nie? — Dopiero po dłuższej chwili odpowiedział, ociągając się, na to z wielką złością zadane pytanie:

— Bo to nie jest dziewczyna dla mężczyzn.

Dziwnie mi się zrobiło na sercu, kiedy usłyszałam te słowa z jego ust. Ciągle jeszcze miałam przed oczami lazurową głębię nieba

prześwitującą między zielonymi wierzchołkami drzew, ale teraz znaczna część jego uderzającego piękna zdawała się jakby blaknąć. Jednak nie miałam wiele czasu na dalsze rozmyślania; oto znowu usłyszałam proszący głos ojca:

— Nie pozbawiaj nas z powodu tego obcego mężczyzny spokoju cichych wakacji! Wtedy Wanda mogłaby przecież znowu kilka tygodni pod rząd...

— Tak, przecież nic się nie zmieni, kiedy będzie tu doktor!
— przerwała mu zniecierpliwiona matka.

— Oczywiście matuchno, ale zważ: on będzie nam przeszkadzał! Pozbawi nas nastroju, ten wstręciuch! Taki mieszcuch z dużego miasta! Zastanów się! I jeszcze do tego jest to podobno jeden z tych postępowych! Taki ze światopoglądem! A w ogóle: tu światopogląd, w naszej zielonej dolinie! Tylko pomyśl! Trzydzieści lat temu we Frankfurcie nad Odrą serwowały mi go między zupą a rybą moje lewicowe i prawicowe sąsiadki przy stole podczas kolacji. Brr! Jeszcze dzisiaj stoi mi to w gardle! A teraz mamy przyjąć na sześć, osiem tygodni w nasz cichy dom takiego, co to czyni ze swego światopoglądu wielką sprawę! Ty uważaj, on nas wszystkich wykurzy tym smrodem jego światopoglądu jak lisy z nory, a Wanda będzie się z nim ciągle kłócić, gdyż ona jest pobożna i dlatego nie znosi tego tak zwanego światopoglądu; i co potem z naszą piękną, miłą, jedyną w swym rodzaju leśną idyllą? Pójdzie w diabły! Zapamiętaj sobie, pójdzie cała w diabły i wszystko za 100 marek gotówka!

Przerwał, a ja ujrzałam przed oczyma mojej duszy, jak zaczęły drzeć mu teraz kąciki ust. Dokładnie tak samo, jak wtedy na rewirze myśliwskim w Quellldorfie, gdy ten bezbożnik Karlik Welz postrzelił, kłusując, piękną sarnę tak nieszczęśliwie, że znaleźliśmy ją martwą.

— Przesadzasz, Karolu — usłyszałam po długiej przerwie, jak matka odpowiedziała zduszonym głosem — a cała ta sytuacja

jest teraz dla mnie dość kłopotliwa. Przecież właściwie obiecałam to już pastorowi, nie przypuszczając, że ty...

– Obiecałaś? – zapytał gwałtownie ojciec.

– No cóż, dzisiaj rano, kiedy był tutaj. I przypuszczam, że on od razu napisał do doktora. Ale jeśli ty teraz zupełnie nie chcesz...

– Nie, nie! – (Usłyszałam, jak ojciec gwałtownie powstał.)
– To byłoby przecież bardzo niezręczne i dla ciebie, i dla dobrego pastora. Jaki miałbym podać powód? Moje powody rozumiemy tylko my, ty i ja, matuchno. Nieprawdaż? Jeśli tak już jest, to musi tak zostać! I – (Usłyszałam, jak westchnął tak głęboko, że było go słychać na końcu trawiastego podwórka) – to też przejdzie! Ale to ci powiem, żeby mu przypadkiem nie przyszło do głowy, by dołączyć do nas na trzeciego w czasie naszych spacerów do lasu! Nic z tego nie będzie! Gdzie ona się podziewa tak długo? Jeszcze jej nie zawołałaś?

– Nie. – odpowiedziała matka, a jej głos zabrzmiał tak miękko, jak rzadko kiedy, gdy mówiła dalej: Jaki z ciebie dobry, dobry człowiek, staruszkule! Chyba aż zbyt dobry!

I pocałowali się jak młoda zakochana para.

Zrobiło mi się trochę wstyd z powodu mojego mimowolnego podsłuchiwania, które pochodziło nie tyle z chęci słuchania, co z tego, że nie chciało mi się przerywać mojego pięknego rozmarzenia i leniuchowania. Teraz jednak zerwałam się rześko z maty i poszłam z udawaną obojętnością na twarzy w kierunku ogrodowej furtki.

Ogarnęło mnie uczucie nerwowego oczekiwania.

Ktoś obcy miał zamieszkać u nas, nowy człowiek miał wejść do naszego cichego kręgu! I do tego ktoś z „wielkiego świata”, ściślej: ze świata wielkiego miasta! Ja wprawdzie też przeżyłam, a raczej przepędziłam tam trzy lata, ciskana jak pień starego drzewa rzucony w górską rzekę, by zrobić z niego tratwę. Dlatego też w ciągu tych trzech lat nie obudziłam się ani razu z mojego uśpienia. Żyłam

w ciągłej walce, by przeciwstawić się dzikiemu naporowi tych nowych wrażeń i w ten sposób nic z tamtego czasu nie wbiło się głęboko w moją pamięć. Jednak ten obcy, ten bratanek naszego dobrego pastora Dorna był najpewniej przesiąknięty oparem wielkiego miasta!

Co to będzie?

Bałam się, że ojciec miał rację: ten mężczyzna, na którym mieliśmy zarobić sto marek, pozbawi nas pięknych wakacji.

Wtedy także we mnie obudziło się bolesne uczucie niechęci, ale szybko sobie przypomniałam, z jaką troską matka myślała o nas dwojgu – słabych marzycielach – i w głębi serca przyznawałam jej rację, kiedy – by się pozbierać – głaskałam białą wełnę moich owieczek. Przy furtce do ogrodu stał ojciec i uśmiechnął się, kiedy do niego podeszłam: był to uśmiech z tamtego wigilijnego wieczoru, kiedy pocieszał siebie i mnie, że będziemy mieli „wakacje” dla siebie.

* * *

W następną niedzielę, kiedy spacerując, zamysłona wracałam przez Młynową Dolinę do domu, dogonił mnie, maszerując długimi krokami, nasz stary pastor Dorn. Był w „mieście”, by ulżyć gosposi w niesieniu zakupów na niedzielę i idąc, pozwalał teraz, aby torebka z mięsem, związana z trzema innymi w papierową girlandę, kołysała się niezbornie tam i z powrotem wraz z połami jego długiego, czarnego surduta.

Za młynem Buscha, tam gdzie prowadziła w górę droga do rewiru mojego ojca, miałam w zwyczaju przystawać i spoglądać wstecz, gdyż urok cichej Młynowej Doliny nieodmiennie napawał

mnie zachwytem. Dostrzegłam pastora w tym samym momencie, gdy on dostrzegł mnie.

— Hej, dziecko! — zawołał z dołu radośnie pastor, machając swym czarnym, miękkim kapeluszem. Jasne lipcowe słońce igrało w siwych pasmach jego obfitych, długich włosów, które opadały mu do połowy ramion. Kontury jego głowy wydawały się otoczone aureolą, ale w rysach tej twarzy, pokrytej tysiącem drobnych zmarszczek, skrywały się szelmowskie chochliki.

— Salve, salve, Wanda! — przywitał mnie filuternie i uroczyście zarazem, ściskając serdecznie rękę swej byłej konfirmantce, która, jak zresztą wszyscy we wsi, chętnie przyznała mu dożywotnie prawo mówienia do siebie na ty.

— Widzisz — mówił dalej, kiedy usiedliśmy na brzegu lasu pomiędzy dzikimi goździkami i stokrotkami — no to od razu mam zapłatę za dobry uczynek! Gdybym kazał podreptać Binerowej samej do miasta (zważywszy, że muszę przygotować kazanie!), spotkałbym ciebie dopiero jutro w kościele. Za to teraz możemy spacerować razem całe pół godziny i gaworzyć! Przytaknęłam z cichym zadowoleniem jego słowom. Ten starszy pan musiał mi zastępować zawsze w moich uczuciach dawno zmarłych dziadków i wszystkich wujków zarazem, ponieważ wszyscy moi krewni omijali z daleka rodziców jako „wykolejonych”. Nie mogli wybaczyć ojcu, że tak doszczętnie zaprzepaścił swoją karierę w leśnictwie, i także matkę, która pochodziła z pastorskiego domu, a była żoną zwykłego rewirowego leśnika, uważano za osobę „zdeklasowaną”. Ale dla pastora Dorna byliśmy właśnie prawymi ludźmi. Od trzydziestu lat przebywał on w naszej parafii i tak dobrze pasował do ojca i do mnie, że matka nierzadko nazywała nas „trzema makowymi głowami”. I kiedy w czasie ciepłych letnich wieczorów lub pełnych nadziei

wiosennych nocy siadywaliśmy w trójkę na pniach przy starym wapienniku i cichutko uśmiechaliśmy się do siebie samych, mając oczy otwarte, ale duchem będąc w dalekich światach, to wtedy jej żartobliwe docinki stawały się naprawdę uzasadnione.

Tak więc siedzieliśmy teraz na brzegu żlebu, a nasze oczy wędrowały, jak dwaj przyjaciele, ramię w ramię, w dół zielonej kotliny pomiędzy leśnymi zboczami i ponad omszonymi dachami młyna, nad którymi unosiła się w górę nitka przejrzystego, niebieskawego dymu. Pozwalaliśmy naszemu wzrokowi tak wędrować aż na drugą stronę kotliny, gdzie zagradzało mu drogę strome zbocze góry, z której spoglądał czujnie w dolinę okazały kościół z czerwonym dachem. Tak samotnie stał tam wysoko, że ktoś nie znający okolicy nigdy by się nie domyślił małego miasteczka, pnącego się po drugiej stronie zbocza w stronę kościoła. Nagle jednak pastor skoczył jak oparzony z komicznym przerażeniem na twarzy:

— Moje kazanie! Chodź, musimy się spieszyć!

I wielkimi krokami poszedł przede mną polną drogą w górę wyżyny, która oddzielała nas od naszej kotliny. Jego girlanda pakunków znowu majtała się tam i powrotem na wyścigi z połami surduta.

Stanęliśmy teraz po drugiej stronie na górskim siodle, z którym łączyły się trzy doliny: Młynowa Dolina za nami, dolina z wioską pastora i moją leśniczówką. Widzi się stąd, spoglądając wkoło, sporą część śląskiej równiny.

— Tak, dziecko, to jest piękne. — zamamrotał pod nosem pastor i pokazał na długą wieś w dole, w której drzewa owocowe skupione w małe zagajniczki otaczały pojedyncze chaty i gospodarskie obejścia, stary dwór i kościół bez wieży z jego srebrzyście połyskującym, czterospadowym dachem.

– Także pod tymi dachami jest dużo niesnasek, zazdrości i niezgody – bo ludzie są tylko ludźmi – ale kiedy tylko wyjdiesz z tych niskich drzwi, za którymi ci zaślepieni zatrzuwają dni swego krótkiego życia, wtedy spogląda na ciebie natura tysiącem swych ślicznych oczu i wobec tego ogromu piękna zapominasz, że ona przez cały czas przemiała niezliczone między swymi lśniącymi zębami.

Zaskoczona zerknęłam z boku na pastora: dziwacznie to zabrzmiało w jego ustach. Chyba znowu jakaś obca ręka założyła na ten delikatny instrument obcą strunę! Jak wiele razy już to przeżywaliśmy, kiedy jakaś frapująca książka, ciekawy człowiek lub jakieś przypadkowe przeżycie potrafiły nagle zawładnąć tą naiwną osobowością. Wtedy jego psychika stawała się jakby odmieniona. Dzięki Bogu czyste duchy, jak strażnicy świątyni, w jego sercu okazywały się za każdym razem silniejsze.

Skąd tym razem przyszło to załamanie?

Nie odważyłam się go o to zapytać i pożegnawszy się już skręcałam w prawo, by zejść do naszej doliny, kiedy pastor nagle i gwałtownie wyrzucił z siebie, jak gdyby zadawał sobie gwałt:

– Zresztą on już tu jest!

To dziwne, ale od razu wiedziałam, że mógł mieć na myśli tylko tego doktora-sto-marek.

– Od kiedy? – spytałam mimowolnie.

– Od trzech dni! – wykrztusił śpiesznie. – Przyjechał dziesięć dni wcześniej, niż to było umówione. Piękna pogoda wabi. I przywiózł, moje dziecko, książkę, diabelską książkę! Coś niecoś już o niej czytałem, ale sama jeszcze nigdy nie wpadła mi w ręce.

– A jaki ma tytuł?

– „Świat jako woła i przedstawienie” Schopenhauera. Znasz ją na pewno ze słyszenia.

Skinęłam głową.

— No, ale chyba jej nie czytałaś? — zapytał nieufnie i kiedy zaprzeczyłam z uśmiechem, mówił pośpiesznie dalej: — No cóż, to wcale nie jest takie oczywiste! Doktor powiedział, że dziś czyta to już każdy gimnazjalista. Może i tak! W czasach mojej młodości czytało się Hegla, którego się nie rozumiało, a którego ten Schopenhauer tak strasznie wyklina. Jego się oczywiście rozumie, bo pisze ci tak czystym stylem, jak woda w górskim strumieniu i jest w tej diabelnej książce coś tak pociągającego — bo jest to diabelska książka i basta! Pomimo wszystko! Na Boga, to nic dla takich radosnych, ciekawych świata dzieci, jak ty. Niech Bóg ma cię w opiece, mała! Pozdrów rodziców, słyszysz? Do zobaczenia jutro w kościele!

I to powiedziawszy odwrócił się, by ruszyć śpiesznie w dół do wsi. Spoglądałam za nim w zamyśleniu przez krótką chwilę.

A więc stąd pochodziły te słowa o naturze, „która przemiela niezliczone swymi błyszczącymi zębami”! Nowy kryzys duchowy pastora był zatem kryzysem schopenhauerowskim! Kiedy go przewycięży?

Zmusiłam się do dłuższego rozmyślenia nad tym pytaniem.

Dlaczego?

Czy chciałam się przez to obronić przed wyobrażeniem, jak wyjdzie spotkanie z przedwcześnie przybyłym letnikiem? Dopiero przy górnej furtce ogrodowej, tam gdzie staje się nagle na samym końcu ogrodu i można objąć wzrokiem całą posesję wraz z leśniczówką i altanką, przyszła mi nagle do głowy myśl: „Dlaczego pastor nie powiedział ani słowa o bratanku? On przecież jest dla niego też jakimś nowym zjawiskiem! Nawet nie kazał przekazać pozdrowień!”

Jego prezent książkowy zrobił najwyraźniej na staruszku duże wrażenie. Skąd więc to całkowite milczenie?

To dawało dużo do myślenia co do dawcy prezentu.

Czy był on jeszcze bardziej podejrzany, niż sam prezent? I co ma oznaczać pokazująca zęby natura w naszej dolinie? Tutaj była ona przecież dotąd tylko dobrotliwa i swojska! Ten bratanek wydaje mi się być jednym z tych, których nasz dyrektor nazwał kiedyś w wielkim gniewie „zatruwaczami studni”.

Tak więc mocno podekscytowana – wtedy nazywałam ten stan „ciekawością” – otworzyłam furtkę, poszłam długą ścieżką pośrodku ogrodu między bujnie kwitnącymi karłowatymi różami (duma ojca) w kierunku altanki i – pierwsze wrażenie na widok naszego letnika podziało bardzo otrzeźwiająco. Przy stoliku do kawy, przy którym dziwnym zrządzeniem losu brakowało ojca, siedział obok matki średniego wzrostu mężczyzna o wychudłej twarzy, której z pozoru zdrowe zarumienienie wydawało mi się kłócić z tak strachliwie poszukiwaną ciszą. Brązowa broda i miękko zaokrąglony nos, na którym, lekko przekrzywione, tkwiły złote okulary, także nie miały w sobie nic wyjątkowego. Jednak postawa obcego i zamszowa dżokejka na jego krótko ostrzyżonej i trochę już szpakowatej głowie wydały mi się niedbale, a jego silnie zabarwiona dialektem saksońskim wymowa raniła od razu moje uszy.

Matka przedstawiła nas sobie i kiedy uklonił mi się, spojrzałam mu przelotnie w oczy.

Wymazały one w mgnieniu oka wrażenie codzienności, które do tej chwili to spotkanie na mnie zrobiło: w takie oczy nigdy jeszcze nie patrzyłam. Byłam tego pewna już w pierwszej sekundzie. Te oczy dawały mi do myślenia. Co? Z tego zdałam sobie sprawę dopiero wiele, wiele później, a całkowicie chyba dopiero w tej godzinie.

Zresztą wszystko stało się dokładnie tak, jak wróżył mój ojciec: choć matka dokładała starań, by konwersacja, przedtem widocznie dość żywa, znowu się potoczyła, nic z tego nie wyszło. By uciec od tej pobieżnej konwersacji o rzeczach codziennych, która snuła się mizernie, zapytałam o ojca i kiedy usłyszałam, że jest (w tej porze „naszego” podwieczorku) na zewnątrz przy drwalach, poszłam mu naprzeciw przez łąkową dolinę.

Spotkaliśmy się na skraju lasu. Pocałował mnie jak zwykle serdecznie w czoło i jak zwykle jego oczy tryskały radością, którą sprawiło moje przyjście, ale ani słowem nie wspomniął, dlaczego po raz pierwszy od całego roku brakło go przy moim sobotnim powitaniu.

W milczeniu, jak to było w naszym zwyczaju, szliśmy ramię w ramię w górę kwitnącej kotliny. Gdy w jakimś miejscu rosły nadzwyczaj bujnie dzikie goździki lub świeże welony brzozy tchnęły szczególnie delikatną zielenią, lub kiedy przez dolinę, z jednego stoku na drugi, przebiegała sarna lub jeleń, to wtedy stawaliśmy bezwiednie przez moment w miejscu. Ale kiedy doszliśmy do łuku doliny, z poza którego można było z tej strony już dojrzeć leśniczówkę, odszukaliśmy wzrokiem w niemym porozumieniu okna na ścianie szczytowej i odetchnęliśmy obydwój z ulgą, kiedy nie dostrzegliśmy w nich obcej twarzy. I znowu w niemym porozumieniu, jakby należało przeciągnąć w czasie powrót do domu, skęciliśmy w prawo do wapiennikowego stawu. Pomyślałam sobie przy tym, jak niezwykle rzadko schodziliśmy do tego, będącego tak blisko domu lustra wody. Jedyne w szczególnie upalne letnie dni, uciekając przed gorącem, szukaliśmy czasami ochłody wśród skał otaczających staw, gdzie ojciec ustawił niewielką ławeczkę na skalnej półce powstałej podczas wydobywania wapienia.

Było to szczególne miejsce, nienadające się zbytnio dla ludzi z lękiem wysokości, ponieważ kiedy spojrzano się w dół, bez konieczności mocniejszego wychylania się, widziało się pionowo, daleko w dole w czarnym oczodole wody swoją własną twarz mieniającą się upiornie w odbiciach światła, z trudem prześwitującego przez gęste listowie buków i topól.

Krótką chwilę cieszyliśmy się, siedząc na ławeczce, chłodem, który cudownie orzeźwiał po spacerze w gorącym słońcu popołudnia, a mnie już zaczynał ogarniać mistyczny czar tego ciemnego stawu, gdy ojciec powiedział jakby ze strachem:

— To jest jednak przerażająca czeluść, ta czarna wodna gardziel! Zawsze jakby szczyrzyła zęby, by chwycić jakąś ofiarę. Gdybym podejrzewał, że w naszej leśniczówce jest ktoś, któremu życie niemiłe, natychmiast bym tę ławeczkę stąd wyniósł. Nie myślisz?

— Tak — odpowiedziałam, wciągając ciężko powietrze — na tej wodzie ciąży jakiś mroczny urok. Dziwne! Mniej niż o dwadzieścia kroków stąd, po tamtej stronie, w leśniczówce mieszka cicha radość, odkąd pamiętam.

— Na Boga, zamilcz! — odparł gwałtownie. — Cicha radość to zbyt delikatna materia; nie wolno jej zakłócać nawet brzmieniem własnego imienia.

I przy tym jego pogodna twarz zachmurzyła się takim ztroskaniem, jakby ta delikatna materia porwana w kawałki rozsypała się w ciemnej toni tam w dole. Przeszedł mnie dreszcz. Wtedy chwycił mnie znowu milcząco pod ramię i tak poszliśmy pod górę do domu, gdzie pracowita matka ze zdwojonym zapalem przygotowywała kolację.

Nieoczekiwanie zostaliśmy sami przy kolacji: Doktor powędrował do lasu i zabrał ze sobą coś do jedzenia. I również wczesne śniadanie zjedliśmy we własnym gronie: jako mól książkowy Doktor jest na pewno wielkim śpiochem, stwierdziła matka, która, jak mi się wydawało, w denerwujący sposób okazywała zainteresowanie jego zwyczajami.

Był to jeden z tych niedzielnych poranków, które tylko tu w naszej dolinie były tak wspaniałe, pełne światła, pobłyskiwania, napełniając moje serce świeżą jak rosa radością świątecznego dnia, która niemalże chciała je rozsadzić. Musiałam zrezygnować z niejednej rozkoszy, o której przypuszczałam ze słyszenia, że musi być to coś dalekiego, delikatnego. Ale przecież to was przemarzyłam, wy poranki niedzielne między ojcem i matką w zielonej altance przed rabatką z różami w naszym ogrodzie!

Wbrew swym obyczajom matka wyjątkowo nie poszła do kościoła, nie chciała tej pierwszej niedzieli zostawić pieczeni świątecznej na pastwę służącej. Ojciec i ja słuchaliśmy tego tylko jednym uchem: w myślach śpieszyliśmy już przez leśną dolinę i na wzniesienie, z którego dało się słyszeć ciche falowanie dochodzącego z dali, ponaglającego „pierwszego dzwonienia”. Gdyż te minuty, które spędzaliśmy tam w górze nasłuchując dźwięczenia dzwonów, niesionego ku nam przez wiatr z tej niedzielnej równiny, z wiosek i z miasteczka, kiedy nad nami w błękicie nieba skowronki wyśpiewywały swe trele, a za nami w lesie wołała kukułka lub dzięcioł stukał w drzewo albo gwizdały kosy (zależnie od pory roku): także te minuty były chwilami, w których nasze dusze obchodziły swoje święto. Również dzisiaj delectowaliśmy się nimi w niemym szczęściu

i już śpiewaliśmy w nabożnym skupieniu, siedząc w naszej łoży, pieśń na wejście, kiedy zostałam jakby jednym gwałtownym szarpnięciem wyrwana z mojego rozmarzenia; zobaczyłam Doktora idącego nawa naszego kościółka.

Wszedł przez główne wejście i podążał ociągając się środkiem świątyni. Sposób, w jaki trzymał monokl przed swoimi krótkowzrocznymi oczyma, i tak już uzbrojonymi w okulary, i rozglądał się za wolnym miejscem, zdradzał, że czuł on się zapewne swobodniej w muzeach, niż w kościołach. I również kiedy nareszcie znalazł odpowiednie dla siebie miejsce, taksował uważnie wzrokiem wszystkie ściany, sufity i chóry tego skromnego kościoła. Wewnętrzny głos podpowiedział mi wtedy, że nie przywiodło go tu zainteresowanie religią, lecz co najwyżej stylem architektonicznym i „estetyczną degrengoladą” starego kościoła, ani też nawet nie przywiódł go wzgląd na kazanie jego stryja. Ten zaś miał zwykle w zwyczaju iść w swym kazaniu ścieżką krętą i jakby nie mającą celu, która wiodła poprzez kwieciste błonia słowa i życia, pochylając się to tu, to tam, by zrywać jeden po drugim przypadkowe kwiaty. I ten „piękny bukiet” budujących myśli wciskał potem ze zniechęcenią uśmiechem w ręce swoich wiernych, by zabrali je ze sobą do zacisza swych domostw i by się nad nimi w powadze zastanawiali. Dziś jednak w kazaniu było coś planowego, celowego i przemyślanego, coś, co znałam z czasów, gdy uczęszczałam do seminarium i miałam okazję słuchać kazań wielkomięjskich kaznodziejów, które zawsze napawały mnie chłodem.

I pomyślałam ze zdumieniem: „Czy to możliwe, że pastor Dorn mówi dzisiaj tak uczenie, by zaimponować swemu bratankowi?”

W taki to wstrętny sposób zostałam pozbawiona mojego rozmarzenia, które zdarzało mi się zawsze w tej kościelnej ławce,

gdy jak dziecko za rękę dawałam się prowadzić pastorowi Dornowi po ścieżkach prowadzących między niebem a ziemią.

Zniesmaczona tą stratą spotkałam po mszy Doktora u pastora w pokoju bawialnym, który nazywaliśmy „muzeum”, ponieważ w promieniu dziesięciu mil nie znalazłoby się drugiego takiego pomieszczenia, w którym zgromadzonych byłoby tak wiele historycznych staroci, jak tu.

Pastor był zagorzałym zbieraczem takich rzeczy. Mój pan hrabia, który miał skłonność do przesadzania, opowiadał ostatnio przy stole, że ponoć Dorn już jako student dla pewnego pięknego dzbana odejmował sobie strawę od ust przez cały rok i nie ożenił się właściwie z powodu renesansowego, cyzelowanego zydła, gdyż właśnie za ten zydlel odstąpił swemu rywalowi narzeczoną. Podobnie, według pewnej plotki, dał się nawet namówić do rezygnacji z sutej wrocławskiej synekury za gliniany siedemnastowieczny dzban z Kreussen. Niewierność wobec narzeczonej wydała mi się gruboskórnym wymysłem, nawet jeśli sama już widywałam, jakie ofiary był skłonny ponieść ten skądinąd skromny mężczyzna dla zdobycia ciekawego eksponatu do swych zbiorów.

Nie było trudno żadnemu z odwiedzających to „muzeum” skłonić jego właściciela do niezwyklej wprost rozmowności: wystarczyło zapytać o historię nabycia poszczególnych eksponatów.

Tak też naszliśmy go i dzisiaj – jeszcze w komży – całkowicie zagłębionego w wyjaśnianie eksponatów swemu bratankowi. Ten zaś trzymał swój monokl tak samo jak w kościele i oglądał przez niego zbiory tak samo, jak lustrował przedtem nagie, kościelne ściany.

Wtedy w myślach sama sobie przyznałam rację, że ocena, jaką wydałam mu w kościelnej nawie, była słuszna.

Pastor spojrzął na mnie przelotnie, kiedy nas witał i rzucił się znowu w wir wyjaśniania. Starłam się nic nie pokazać z mojego niezadowolenia, jednak nasze dusze zbyt dobrze się rozumiały: przerwał nagle rozmowę i usiadł obok mnie. Z dziecinnym zażenowaniem powiedział:

– Ale szczerze, Wanda, moje kazanie ci się nie podobało.

– Nie tak całkiem. – musiałam przyznać, spróbowałam jednak po tym trochę stonować moje słowa, powiedziałam więc: – To znaczy, nie tak, jak zawsze! – I wyjaśniłam mu wtedy, co czułam w kościele.

– Jestem całkowicie pani zdania, moja panno. – usłyszałam mówiącego to Doktora, który właśnie podchodził powłócząc nieco nogami, przeciskając się w naszą stronę między krzesłami, cebraми, dzbanami i kuframi, i swoim zwyczajem, kołysząc binoklem trzymanym między kciukiem a palcem wskazującym prawej ręki, a przy tym mustrując nas swymi krótkowzrocznymi oczami, kontynuował:

– Mnie także twoje kazanie, kochany wuju, wydało się zbyt górnolotne. Jeśli zazwyczaj robisz tak, jak mówiła panna Heyse, to znajduję to bardziej stylowym. W ten sposób kazanie pasuje lepiej do twojej publiki i do nieco skąpego wystroju waszego kościoła. Mnie także wyglądało to na modłę kaznodziei dworskiego.

Dobrotliwy pastor siedział i spoglądał na poły z zażenowaniem, na poły ze smutkiem to na mnie, to na Doktora. Kilka razy przeciągnął bezradnie swą pokrytą drobnymi żyłkami białą dłonią po swych błyszczących srebrzystych włosach i gładko ogolonej brodzie, i w końcu, znowu odzyskując pewność siebie, rzucił:

– Macie rację, dzieci! Nie można grzeszyć wobec swojej sztuki! Szczerze mówiąc: mnie samemu wydawało się, jakbym był kimś obcym na tej ambonie.

I teraz znowu zaśmiał się do nas z zadowoleniem. Jednak mój ojciec, który siedział przy oknie na wysokim, wyściełanym, wylakierowanym na biało, biedermeierowskim krześle, które było jego stałym miejscem w „muzeum”, pochrząkiwał skrycie, zasłaniając usta dłonią.

Ten wyraźny znak jego głębokiego niezadowolenia wyrwał mnie w końcu ze stanu zadziwienia słowami Doktora. Czułam się tak, jak gdyby coś w moim wnętrzu pchnęło mnie z przemożną siłą, by przerwać to porozumienie między nami.

— Nie to miałam na myśli, panie Doktorze. — wyrzuciłam z siebie. — Wydaje mi się, że za dużą wagę przywiązuje pan do formy. Istotną pozostaje przecież nieprzemijająca treść.

Jeszcze nie skończyłam mówić, a już zaczęłam się wstydzić tego, co powiedziałam.

Widziałam go w myślach, jak przegląda mój zeszyt do dyktanda z czasów seminarium i wskazuje palcem na miejsce, gdzie starannie zapisane stoją słowa mojego nauczyciela religii.

Jak przyszła mi ta myśl? Czy sprowadził ją błysk zadowolenia, który przy moich słowach pojawił się jak szelmowski śmiech w jego subtelnych, brązowych oczach?

— Nieprzemijająca treść? — powtórzył z przekąsem. — Jakaż pani szczęśliwa! A więc to tkwi jeszcze w pani? I nie są to tylko lupiny jajek z seminaryjnej wylęgarni?

Teraz znowu odzyskałam rezon: strzelono do mnie ze zbyt wielkiego kalibru. Wstałam śpiesznie i powiedziała do ojca:

— Idziemy?

— Chętnie, dziecko! — odpowiedział wstając, po czym pożegnaliśmy się.

Pastor Dorn był prawdziwie załamany moim „urazeniem”. Ja jednak znowu zamknęłam się w moim pancerzu, kiedy Doktor

przyłączył się do nas w drodze do leśniczówki, jak gdyby było to całkowicie oczywiste.

Ojciec szedł milcząc obok nas; nie spoglądał z niezadowoleniem, ale ja wiedziałam, że żałował wraz ze mną straty tych cichych minut świątecznego dnia, które, wracając z nabożeństwa, zazwyczaj spędzaliśmy razem po drugiej stronie na polnym siodle. Dziś jednak przesłabym bezwiednie przez przełęcz, gdyż przy podchodzeniu w górę Doktor, wypytując o moje codzienne zajęcia, wciągnął mnie w pedagogiczną rozmowę, która sprawiła, że miałam rumieńce na twarzy.

Od razu po wyjściu z plebanii opowiedział mi, że on sam – zaraz po studiach – próbował być nauczycielem, odkrył jednakże, że to nie dla niego, przynajmniej tak długo, jak długo większość jest opóźniona w normalnym rozwoju.

– I niech da pani spokój z tą tresurą pólidiotów! To wzbudza moje najgorsze instynkty. Do najgorszych wybuchów pasji, którymi jako esteta tak pogardzam u innych i u siebie, doprowadziła mnie ta krótka walka z głupotą.

Pomimo mojej ciągle jeszcze mocnej niechęci wobec „tego człowieka”, jego pedagogiczne herezje znalazły we mnie jednakże duży oddźwięk: nagle zdałam sobie sprawę z tego (co zawsze siłą ukrywałam przed samą sobą), że ta codzienna szyfowa praca nad ocieźzałymi umysłami moich uczennic bardziej mnie deprymowała, niż zadowalała. Ale jak miałabym się przyznać przed „tym zuchwałym człowiekiem”, że tak szybko otworzył mi na to oczy!? Zaprzeczyłam, przytaczając kolorową mieszankę niejasnych argumentów, które pochodziły z mojego ubożego doświadczenia, wymyślonych ideałów i błędnych wspomnień z czasów studiów.

Tak więc nie sprawiło mu większego trudu, by krok po kroku zbijać wszystkie moje argumenty. Jednak tym bardziej rosła moja

determinacja w obronie straconych pozycji, mówiłam i mówiłam, kiedy ojciec, uśmiechając się z zadowoleniem, zatrzymał się po drugiej stronie na przełęczy, by jak zawsze spojrzeć w tył.

W moich uszach i oczach krew krążyła zbyt szybko, bym mogła z jakimkolwiek nabożeństwem obserwować krajobraz, a uśmiezek ojca wzmagał jeszcze moje zdenerwowanie; gdyż tłumaczyłam sobie właściwie, co chciał powiedzieć: „Od razu sobie pomyślałem, że to całe nauczycielstwo to nic dla dziewczyny!”

Doktor w międzyczasie uzbroił swoje oczy znowu w okulary i binokle i przeciągnawszy szeroko wzrokiem po dalekim krajobrazie, rzekł:

– Tak, to jest piękny obraz w swej prostocie i ogromie! Jak malowniczo żywy, jak potężnie ukształtowany ten ogromny dywan przedgórza i jak delikatnie obrębiony!

– Zdziwiał mnie pan, Doktorze – rzuciłam ironicznie, odwracając się, by pójść dalej – że to wszystko znaczy dla pana więcej, niż tylko przelotny impuls na siatkówce oka. Według pana teorii musiałyby to wszystko być tylko złudzeniem i pozorem!

Zaśmiał się krótko:

– Oho, jeszcze pani na mnie zła, że nie pozwoliłem pani obronić tej nieprzemijającej treści, którą się podaje z ambon. A teraz odwraca pani ostrze! Bardzo zabawne! I oczywiście ma pani rację: również to jest złudzeniem! Jest to jednak wzniosłe złudzenie mające w sobie, jak wszystko, co piękne, wartość, która pozostaje naszą własnością tak długo, aż sami się w tym wszystkim roztopimy. A przeciwko temu drugiemu także nic nie mam – w jego chwilowym działaniu. Oczywiście może to wiele dla nas znaczyć, dla niektórych bardzo wiele, dla wielu może wszystko! Szczególnie tym, których jest zbyt wielu! Tylko nie należy tego nazywać „nieprzemijającym”. Cóż jest

nieprzemijającego i pewnego? Nic! Wszystko jest dla nas problemem.

— A my sami?

Sama nie wiedziałam, jak wpadłam na to pytanie.

— My również jesteśmy problemem! I to nie najłatwiejszym, ponieważ jesteśmy — nie mogę powiedzieć o tym nic lepszego, niż powiedział już mędrzec, którego zrodziły nasze czasy — jesteśmy tylko zgiełkiem pośród ciemnych ulic.

Jeszcze dziś, po tak wielu latach, pamiętam, jak przemożna siła tej idei uderzyła mnie wtedy, w pogodnym, ciepłym, zielonym, czerwcowym lesie, w samym środku lata.

„Zgiełk pośród ciemnych ulic!”

Moje młode serce broniło się przed mroczną potęgą tych słów, jednak zdawałam sobie sprawę z tego, że daremna to była obrona. Jakby szukając pomocy, rozglądnęłam się za ojcem; jednak on pozostał niezauważenie w tyle za nami i być może zboczył do lasu. Stałam zatem bezsilna naprzeciw tej mrocznej idei i jej egzegety.

— Nie! — wykrzyknęłam w bolesnym poruszeniu. — Nie, to nie jest, to nie może być prawdą!

Doktor spojrział na mnie z zakłopotaniem. Z jego oczu zniknęło chłodne zainteresowanie skalkulowaną na zimno wymianą poglądów, a w jego zadziwiająco głębokich oczach pojawił się ciepły promyk współczującego zrozumienia. — Czy to dictum tak panią dotknęło? — zapytał miękko. — No, niech już pani przestanie! Po co mają panią poruszać takie mroczne poglądy? Pani przecież istnieje, by wierzyć i — by się śmiać!

— I mówiąc to otworzył przede mną furtkę prowadzącą do różanego szpaleru w ogrodzie.

Budzenie lunatyków nie wychodzi im na zdrowie. Ale mnie obudziły te pedagogiczne herezje Doktora, a głupota jednej mojej uczennicy, którą do tej pory uważałam za zwyczajne dodatkowe obciążenie w moim zawodzie, zdenerwowała mnie już następnego dnia po tej rozmowie: dawałam głupiej od czasu do czasu kuksańca w ociążałą głowę, za której lekcyjne oświecenie byłam opłacana. Skutek: omdlenie ukaranej, w wyniku tego wielki krzyk obydwu pozostałych dziewczynek, zbiegowisko, panika, gwałtowne wkroczenie zestrachanej matki, przetransportowanie „pobitej” do jej pokoju i – po jej rychłym ozdrowieniu ostre przesłuchanie mojej osoby, która także o włos była od omdlenia.

Pani hrabina od razu zmieniła ton: stał się on drwiąco-lekceważący. Tego nie mogłam znieść, klóciłyśmy się zatem zawzięcie. Ku mojemu własnemu zdumieniu posługiwałam się wszystkimi argumentami, które przytoczył Doktor jako wyjaśnienie jego ucieczki ze szkoły, by bronić się przeciwko zarzutowi „nieczułości” i „barbarzyńskiego sposobu postępowania”. Tak więc wykrzyczane w końcu przez hrabinę wymówienie wydawało się być sprowokowane wprost przez mnie.

Ale przyjąłam je tylko pod pewnymi warunkami.

– Nie dam się tak po prostu wyprosić za drzwi! – powiedziałam jak stary wyjadacz. Co też musieli ci ludzie o mnie pomyśleć i jak bardzo musiało to zaszkodzić mojej dalszej reputacji nauczycielskiej, a jak poradzę sobie ze stratami finansowymi? W tym momencie obudziło się mianowicie moje skąpstwo. Ponieważ już zawsze byłam skąpa. Teraz to wiem; wtedy działałam pod presją uczuć, w wielkim strachu, że to piękne zarabianie pieniędzy, które miało na mnie,

nie przymierzając, wprost odurzające działanie, miałyby się nagle skończyć. Hrabina spojrzała na mnie wyraźnie zaskoczona. Moja poza kobiety interesu zdawała się po części śmieszyć hrabinę, a po części działać na nią przekonująco.

— Dobrze. — powiedziała teraz już o wiele bardziej spokojnym i dobrotliwym tonem. — Tak więc pozostanie pani do końca zawarowanego kontraktem terminu. Przyjmuję jako zrozumiałe samo przez się, że tego rodzaju sceny jak dzisiaj już się nie powtórzą. — Po tym wyszła gwałtownie z pokoju, a ja udałam się jak trusia za nią i podażyłam do mojego pokoiku, w ogóle nie mogąc uwierzyć, że rodzona córka mojego ojca poradziła sobie z taką sytuacją.

Tak szybko, jak gniew przyszedł, tak szybko też minął. Dumne pozostawanie w postawie bojowej nie leży w moim charakterze. Dzieci szybko to wyczuły i po dwóch czy trzech dniach byliśmy znowu w starej przyjaźni.

Ale rodzice zachowali jednak pewien chłód i rezerwę, toteż moja ograniczona uprzejmość wobec nich całkowicie zniknęła: zachowywałam się obcesowo i niezręcznie w domowym obejściu i byłam nawet trochę zła, że każdy starał się tego nie zauważać.

Sobota, w tym tak bardzo podkopującym spokój mej duszy tygodniu, przyniosła deszcz. Nawet nie myślałam o tym, że mogłabym pójść do leśniczówki pieszo. O powóz w sytuacji, jaka zaistniała, nie mogłam już prosić. Tak więc w myślach byłam już blisko rezygnacji z chwil mojego rozmarzenia w lesie. I rezygnowałam z tego wcale nie niechętnie: z daleka od domu trzymała mnie myśl, że mogłabym znowu gwałtownie zaprzeczyć Doktorowi, by potem w nadchodzącym tygodniu postępować według jego poglądów, tak jak teraz. Już chciałam usiąść, by zakomunikować listownie rodzicom, że nie przyjadę, kiedy dziewczynki przybiegły z wiado-

mością, że ich matka kazała zaprząć dla mnie ze względu na złą pogodę. Jan zaraz zajedzie. W domu moje przybycie wyraźnie zaskoczyło wszystkich. Radość ojca z mojego zjawienia się była autentyczna; w radości matki dostrzegłam jakiś nowy, głośny ton, który mnie deprymował. Oboje chwalili jednak uprzejmość hrabiny. Nie mogłam więc zataić naszej kłótni i wymówienia pracy.

– Aha – powiedział ojciec – teraz staje się to, co musiało się stać. Znam przecież dobrze Wandzię, mojego uparciucha! To nie będzie ostatni raz, że sprawy mają się tak kiepsko. Mogłaś ją zatrzymać z nami w lesie, nie ma tam nic, co mogłoby budzić w niej aż taki sprzeciw.

– Tak? – odparła matka z rozdrażnieniem. – Znowu mi tu opowiadasz te stare historie? Jakbyśmy może mieli inny wybór, by porządnie zadbać o przyszłość Wandy! Ależ oczywiście, moje dziecko, jeśli tak zaczynasz, to...

Przerwała wdychając, ponieważ ojciec krzyknął na nią i pogłaskał mnie pospiesznie, uspokajająco po moich kędzierzawych włosach.

– No tak, tym razem chyba rzeczywiście nie mogłaś inaczej. – powiedziała matka z rezygnacją. – Ale ja się przecież martwię! Ten ładny plik pieniędzy na twoje wykształcenie nie może być wyrzucony na marne. Ale – może pan Doktor ma jakąś radę? Ma on przecież wiele znajomości w Dreźnie i gdzie indziej też.

Spojrzałam na nią nie rozumiejąc, ale ojciec spoglądał teraz z wyraźną wrogością. I – co zazwyczaj nigdy nie było w jego stylu – powiedział zaciskając zęby:

– Ach tak, ten! Ten na pewno stanie się powoli takim naszym deus ex machina?

– Jak to? – zapytała matka tak ostrym tonem, że wydał on mi się też czymś zupełnie nowym. Zdałam sobie z tego sprawę jednak

dopiero później, jak to niestety leży w mojej naturze. W tym momencie czułam tylko, że atmosfera w naszej leśnej „świątyni spokoju” stała się niespotykanie niemiła i dlatego bardziej z przekory, niż z wiadomych powodów, odmówiłam stanowczo:

— Nie, matko, za jego pośrednictwo ja także dziękuję!

Ojciec skinął mi z ukontentowaniem głową; pomimo to zaraz zrobiło mi się serdecznie żal matki, kiedy powiedziała zmęczonym głosem:

— Wam jest łatwo odmawiać, wy dwoje marzycieli! Kto jednak patrzy w przyszłość, temu nie jest do śmiechu!

W tym momencie zagniewanie ojca już całkowicie minęło, głaszcząc matkę po rękach, poprosił:

— No już przestań, mamuśka! Na pewno chcesz dla nas dobrze. Ale nie wciągaj w to tego obcego wstręciucha! O to cię serdecznie proszę.

— Jak chcesz, Karolu — odpowiedziała matka trochę udawanym tonem uległości — ale nie wiem, co masz przeciw Doktorowi. Przecież on jest zdecydowanie miłym człowiekiem, taki obeznany, interesujący i pięknoduch, jakiego jeszcze nigdy nie spotkałam.

— Sztuczka! — znowu zaśmiał się beztrasko.— Sztuczka, być u nas, którzy siedzimy tu samiśmy od bez mała ćwierć wieku!

Ja stałam podczas tej wymian zdań przy oknie i wpatrywałam się w beznadziejnie padający deszcz na dworze. Moje serce było w rozterce, komu miałoby przyznać rację w tej sprzeczce o Doktora; mój uparty umysł opowiadał się za ojcem, a matce nie mogłabym teraz powiedzieć jednego miłego słowa.

Tego deszczowego popołudnia i również następnego ranka, kiedy to deszcz padał strumieniami, że nie sposób było nawet myśleć o pójściu do kościoła na mszę, nie spotkałam Doktora. W takie dni on się zakopuje w swoich książkach, wyjaśniła mi matka nieproszona. Widocznie czuła potrzebę, by względnie często opowiadać o swoim gościu; napełniało mnie to jednak dziwnym niezadowolaniem.

Około południa deszcz przestał padać. W cudownej świeżości górski las i polany wyłoniły się z otaczającej je mgły, a pomiędzy porwanymi skrawkami unoszących się mgielnych mas płynęły małe wysepki świetlistego błękitu nieba, jak delikatne, dalekie rajskie ogrody. Spacerowałam powoli w dół naszej doliny. Wydało mi się, jak gdybym nigdy jeszcze nie widziała tych traw i kwiecica, tych brzozowych pni i gałęzi buków tak mieniących się jak dzisiaj, gdyż ich wczesnoletnia wybujałość obwieszona była błyszczącymi kropelkami. I czy miałam teraz utracić możliwość cieszenia się tym wszystkim, kiedy tylko zechcę? Znowu miałam być zamknięta w jakimś wielkim czworokacie domów, jak w tych strasznych latach seminarium?!

A wtedy było to przecież dużo łatwiejsze do zniesienia, ponieważ stanowiło dla mnie coś nowego, nieznanego, nęcącego swą obcością. I przecież byłam także przez ten cały czas jakby nieprzytomna. Moje złężnione skapstwo, by ten słono opłacony czas przeznaczać na nic więcej, jak tylko na naukę, znieczuliło mnie na tę całą bezrozumność szkolnej enklawy, w której wegetowałam jak w złym śnie. Były jednak także cudowne przebudzenia co kwartał, kiedy spędzałam ferie w pięknym, zielonym lesie!

Ale teraz, gdybym znowu miała chodzić pomiędzy tymi budynkami niby grobami z kamienia, teraz musiałam ulec ich

naporowi, gdyż teraz moja świadomość dostrzegła ich morderczą dla umysłu siłę: ciążyłyby nade mną jak grobowa płyta nad pozornie umarłym.

I dlaczego groziło mi rozstanie z tą doliną moich korzeni i tych dwojga ludzi, których bliskości tak potrzebowałam dla harmonii życia we troje?

Ponieważ ten obcy jaskrawo oświetlił mi to niezadowolenie, które dotąd jawiło się jak daleka mgła, pojawiająca się przed wspinałym widokiem na pogodny, cichy koniec tygodnia. I na cóż mi się to oświecenie przydało? W burzową chmurę zamieniła się ta ściana mgły i już uderzała we mnie pierwsza bijąca z niej błyskawica.

Pierwszy raz w moim młodym życiu opanował mnie gniew na tych oświecających, tych nieproszonych, którzy obudzili moje uczucie, gdy leżało spokojnie w półśnie. Kiedy patrzę teraz wstecz, widzę, jak było ono rozbudzone krok po kroku, tak jak krok po kroku idąc od dołu życie łamało mnie kołem. Nagle, jakby wyrósł spod ziemi, na zakolu leśnej dróżki stanął przede mną Doktor. Przywitał mnie, chyba bardziej poufale niż grzecznie, i spojrział na mnie badawczo. Zażenowana uciekłam wzrokiem i chciałam iść dalej, on jednak zagadnął mnie, jak gdyby było to zrozumiałe samo przez się:

— Co pani jest, panno Wando? Wygląda pani taka bezradna.

Czy miałam mu powiedzieć, że właśnie w tej chwili byłam moimi myślami przy nim i zmagalam się z jego niepożądanym wpływem na moje jestestwo?

Szukałam wyjścia w obcesowej małomówności, ale on puścił mimo uszu mój niegrzeczny ton i odpowiedział na moje śpieszne „Nic”:

— Tym lepiej! Bardziej mi się podoba obracać się między ludźmi, którzy są weseli i nic ode mnie nie chcą, także pociechy. Jest tak samo nieprzyjemnym i raniącym musieć dawać, jak też musieć brać.

– Dziwaczne spojrzenie na życie! – wydusiłam z siebie.

– Tak nie myśli pani, panno Wando, że najlepsze w nas może się obudzić dopiero wtedy, gdy wszystkie „dlaczego?” zamilkną?

– O, to według tego wszyscy ci, którzy poświęcili się dla ludzkości, żyli i cierpieli na darmo. Na przykład Chrystus!

– Tak, i on też.

Doktor spoglądał na mnie przy tych słowach z uśmiechem, za którym czaiło się coś, czego nie pojmowałam. Napęniało mnie to prawdziwą trwogą, bardziej jeszcze jak te dziwaczne słowa, które przecież tylko dla takiego dziwaczego sensu mogły być użyte.

– Nie rozumiem pana, panie doktorze. – odrzekłam cicho i to zdawało mu się podobać. Przez chwilę szedł obok mnie milcząc, po czym zapytał nagle, patrząc mi prosto w oczy:

– Niech pani powie, panno Wando, czy pani naprawdę już kiedyś poważnie zastanawiała się nad sprawami religii? Samodzielnie, nieprowadzona przez rodziców, nauczycieli i pani duchownego? Czy próbowała pani zdać sobie rachunek, co z tych dogmatów, które nosi pani w głowie, może być prawdziwe i słuszne?

Te pytania wzbudziły we mnie głęboki, trwożliwy sprzeciw. „Nie budź mnie!” mogłabym wykrzyknąć. „Nie budź mnie teraz znowu. Dlaczego chcesz mnie zawsze pociągnąć w krąg czystego, zimnego światła, kiedy jest mi przecież tak dobrze w cieniu zmierzchania?” Ale on z tak prawdziwym przejęciem spoglądał swymi dobrymi, brązowymi oczami, które zawsze wydawały się przepraszać za to, co nabluźniły bezbożne usta, że odpowiedziałam delikatniej, niż sama mogłabym sobie wyobrazić:

– Nie, nad tymi rzeczami jeszcze nie łamałam sobie głowy. Ja – ja zawsze się tego obawiałam. Co tam jest właściwie do myślenia? Tu można tylko czuć i wierzyć.

— Całkiem słusznie! — skinął głową jak ktoś, kto doświadcza czegoś, co już przewidział. — Mogłem się tego domyślać! Jest to stara śpiewka. I — tak jest chyba dobrze! I ja nie chcę w żadnym razie zachwiać pani w tej — no cóż — wierze! Gdyż w najmniejszym stopniu nie czuję w sobie powołania do bycia świętokradcą.

Tym sposobem uciął gwałtownie temat i opowiedział, kiedy skierowaliśmy się już ku leśniczówce, o swoich wędrówkach po lesie w zeszłym tygodniu. Z jakim zdumieniem słuchałam płynących z jego ust słów, wychwalających dokładnie te przemilczane radości i rozkosze, którymi las mnie obdarzał i nadal obdarza! Jeszcze nigdy nikt nie ubrał tego dla mnie w słowa. Ojciec i ja delektowaliśmy się tym wszystkim wprawdzie również razem, ale delektowaliśmy się w milczeniu. A poza tym nie było nikogo w kręgu mojego życia, kto posiadałby zdolność podsłuchiwania tajemnic leśnego piękna.

I oto przybył ten obcy mężczyzna i w niecałe dwa tygodnie posiadał to, co tak powoli stało się żywe w mojej duszy! I mówił o tym, uczenie, przekonująco i — profanująco. Tak przynajmniej ja to znajdowałam! Gdyż kto tego słuchał, ten bez trudu również rozprawiał o ukrytych cudach lasu.

Bez ogródek wypowiedziałam wobec niego moje niezadowolone.

Wtedy on tylko się uśmiechnął tak jak przedtem.

— Czy pani myśli — spytał z lekkim wyrzutem — że ja opowiedziałbym to temu stadu, tym „o wiele zbyt wielu”? O takich tajemnicach opowiada się tylko wtajemniczonym.

Na te słowa ogarnęło mnie uczucie miłego ciepła. Z trudem mogłam je ukryć i siłą woli zachować chłód.

— Ci o wiele zbyt liczni?! — spytałam zdziwiona. Skąd wziął pan to bezbożne i szydercze wyrażenie?

— Od największego z nam współczesnych ludzi — odpowiedział z pewną dozą nabożeństwa — którego słowami przed chwilą panią przeraziłem. Są zawarte w książce, która niczym piorun uderzyła w umysły filologów. Jej autor wyrwie z letargu jeszcze niejednego.

— To należałoby tego człowieka zawczasu unieszkodliwić, gdyż ten, kto budzi uśpionych, jest w moich oczach przestępcą!

Wtedy Doktor gwałtownie się zatrzymał, wyciągnął niecierpliwie rękę w moim kierunku — (staliśmy właśnie na zewnętrznych schodach prowadzących do przeszklonej werandy) i powiedział, mając w oczach ciepły, głęboki połysek:

— Za te słowa składam pani największe dzięki, panno Wando! Wprawdzie jestem zupełnie odmiennego zdania, ale było to prawdziwie interesujące, wyznanie z głębi serca i — jak myślę — klucz do pani istoty. Za nic nie można być bardziej wdzięcznym współwędrującemu, niż za takie oświecające inspiracje.

Zmieszana i zła wyrwałam z jego ręki moją dłoń, którą włożyłam tam przedtem bezwiednie i pobiegłam bez tchu schodami w górę.

Pod wieczór przyszedł do nas pastor Dorn. Wszyscy siedzieliśmy na werandzie, Doktor z nami. Las i łąkę przepelniała lekka poświata szczęśliwości, jaka mieszka w oczach ludzi, którzy nareszcie się godzą po długiej, ciężkiej do zniesienia kłótni. Opierałam się o framugę otwartego okna i pozwalałam chętnie, by moja dusza była owiewana tą lekką bryzą melancholii, płynącą z zewnątrz, kiedy ojciec i matka rozprawiali miło z pastorem Dornem o błahych wydarzeniach ostatniego tygodnia we wsi. Zauważyłam oczywiście, że Doktor ukradkiem mnie obserwuje, ale mi to nie przeszkadzało i nie było aż tak natarczywe, by zepsuć moje odczucia płynące z zewnątrz. Nawet kiedy opuścił swoje miejsce i stanął cicho za moimi plecami, nie zmieniałam postawy i trwałam nadal w zauroczeniu cichego, pieszczącego zmysły wieczornego powietrza.

— Czy to tam na dworze nie jest jak tysiąckrotne uściskanie?
— usłyszałam półgłosem za sobą.

— Czy powietrze nie wisi nad doliną jak pachnące, złociste włosy kobiety? I czy nie spływają po nich balsamicznie krople aż na różowawe stopy, co właśnie wyszły z kąpieli?

Skinełam milcząc i znów doznałam czegoś nowego w moim życiu: radość bycia jednością z innym człowiekiem w świadomym, wspólnym przeżywaniu wzniosłych i delikatnych uczuć. I czułam się niezwykle szczęśliwa w tej świadomości.

Jednak spojrzenie matki wyrwało mnie nagle z tego całkiem dotąd nieznanego mi błogostanu. Wstałam niezgrabnie z krzesła i poszłam szybkim krokiem do pokoju, jakbym czegoś tam szukała. Co to takiego było, co mnie tak w jej spojrzeniu zraniło? Było ono przecież pełne ciepła, a usta matki się uśmiechały. Uśmiechała się jednak, skrywając radość ze spełniającego się życzenia. To było coś obcego, co mnie zraniło. I to, że ogarnęła tym spojrzeniem mnie i tego obcego!

Kiedy wróciłam z chwyconą naprędce robótką ręczną, znalazłam moich rodziców i pastora przy tradycyjnej partyjce niedzielnego wista, a matka powiedziała znad kart:

— Pomyśl tylko, Wanda, panna Lisbeth nagle zachorowała! Lisbeth, siostra naszego kantora, który był stanu wolnego, była pomimo dużej różnicy wieku między nami, moją najlepszą znajomą wśród wszystkich mieszkańców wsi, kiedy jeszcze mieszkalam w domu rodziców. Przestraszyło mnie to, że ta zawsze silna i pracowita kobieta zachorowała, i kiedy pastor — także spoza kart — zauważył:

— Wcale mi się nie spodobała, kiedy ją ostatnio odwiedziłem. Myślę, że miała wysoką gorączkę! — Odparłam na to, podejmując szybką decyzję:

— Chcę ją jeszcze szybko odwiedzić, zanim zrobi się ciemno.

— Ależ nie! — zachnęła się matka. — Nie zdążysz przecież wrócić przed zmrokiem.

— Las jej nic nie robi! — rzucił niedbale ojciec, który do tej pory tylko się uśmiechał i mało co odzywał. — A poza tym mogę jej wyjść razem z panem pastorem naprzeciw.

Na to Doktor wstał z krzesła, na którym ja przedtem siedziałam, i powiedział lekkim tonem:

— Czy pozwoliłaby pani sobie towarzyszyć, panno Wando?

Dziwnie mi się zrobiło na sercu, gdy usłyszałam tę właściwie zwyczajną propozycję. Szybkie spojrzenie na twarz matki popchnęło mnie jednak do zdecydowanej odmowy, gdyż znowu wydało mi się, jak gdyby chciała swoim łzawo szczęśliwym spojrzeniem otoczyć nas dwoje więzami. W tym momencie jednak wmieszał się nagle i żartobliwie pastor Dorn:

— Weź go spokojnie jako strażnika ze sobą, kochana Wando! Przecież celem jego życia w tym miejscu jest jedynie szwędanie się po lesie. Ale, drogi kuzynie, nie przewróć jej w głowie czymś super nowoczesnym, jak mnie tym cholernym Schopenhauerem! Zawsze bierz go ze sobą, drogie dziecko i pozwól opowiedzieć sobie coś uczonego. Na pewno jakoś to zrozumiesz.

W ten sposób nie było już możliwości, by ponownie odmówić. A kiedy ojciec jakby dla mego uspokojenia delikatnie jeszcze raz pocieszył:

— Wyjdę ci naprzeciw, Myszko! — odwróciłam się do Doktora, który w milczeniu i z widoczną uciechą przysłuchiwał się tej scenie, i rzuciłam arogancko:

— No cóż, jeśli to panu nie uwłacza, panie Doktorze, by być eskortą takiej gąski ze wsi...

— W tak samo małym stopniu, jak pani uważa się rzeczywiście za gąskę ze wsi! — powiedział i zaśmiał się pogodnie! Pastor śmiejąc się głośno, przyłączył się do Doktora, podobnie jak matka ze swym piskliwym, rozbawionym tonem, od którego bolały mnie uszy.

— No to proszę! — rzuciłam pośpiesznie i zaczęłam zbierać się do wyjścia.

Milcząc, jakby w cichym zakłopotaniu, szliśmy w wolno opadającej mgłę. Nad nami płynęły nieśpiesznie wieczorne chmurki o kolorze pierza flamingów, a kojące, delikatne letnie powietrze głaskało niczym dłoń moje rozpalone policzki.

— Nie zechce pani opowiedzieć mi czegoś o tych ludziach z domu kantora? — zapytał Doktor głosem, który jakby świadomie wydawał się odpowiadać tym wszystkim lekkim tonom wokół nas. — Z niechęcią wkraczam na nieznany mi teren.

Jego życzenie przyniosło mi ulgę i jednocześnie zażenowanie: znalazłam wprawdzie coś do opowiedzenia, ale zabrnęłam w ślepa uliczkę, gdyż żądał ode mnie osądu, który mógłby się opierać tylko na obserwacji. I to zadanie trochę mnie przeraziło.

Wyobrażenie pary rodzeństwa, do których teraz szliśmy, było w mym umyśle całkiem wyraźne, także w szczegółach, ale było to (jak i wszystko inne) jakby zakryte ciemną mgłą i wydawało się tak niewyraźne, jak dalekie góry spowite w dżdżu. Dlatego też mój opis, sprawiający mi zresztą wielką trudność, niewiele był wart.

— Ach tak, stara panna łąkowo — leśnego sortu! — podsumował Doktor krótko Lisbeth. Ale kiedy usłyszał, że jego stryj nazwał kantora już nieraz „poszukiwaczem Boga pełnym wątpliwości”, wyrwał mu się — co rzadko się zdarzało — jego saksoński okrzyk zdziwienia: — A to ci, prawda li to! Ten rodzaj ludzkich egzystencji jest dla mnie zawsze najbardziej interesujący.

– Wydaje mi się, panie Doktorze – wykrzyknęłam drżącymi ustami – że pan obraca w szyderczy żart wszystko, co jest związane z Bogiem i religią.

Na to zatrzymał się zaskoczony.

– Jak może pani tak myśleć, panno Wando? Z naszych skąpych rozmów nie może pani czegoś takiego z taką pewnością twierdzić.

– Nie – musiałam przyznać – ale tak to czuję.

– Tak? Tak pani to czuje? No, no! W rzeczy samej wysoce dziwaczne! I – jeśli się nie mylę – jest w pani coś ekscytującego.

– Ekscytującego? – powtórzyłam arogancko. – Jak to?

– Lub powiedzmy raczej: coś denerwującego!

– To już bliżej! – odparłam pośpiesznie. – To rzeczywiście denerwuje.

– Ale co? – zaśmiał się krótko z zażenowaniem.

– Chodzi o to pana bezwzględne sekowanie, panie doktorze. Znam prawdziwą sekcję tylko ze słyszenia. Ale wyobrażam to sobie, tak jak pan podchodzi z ostrym skalpelem do uczuć innych ludzi i ciach, ciach wycina wszystkie ochronne warstwy.

Teraz mój towarzysz wyraźnie był szczerze zdziwiony i ja również.

– Skąd przychodzą pani do głowy takie oceny? – zapytał, wyraźnie przestraszony i po dłuższej chwili powiedział zmienionym głosem: – Panno Wando, szczerze mówiąc, skąd bierze się u pani takie zdanie o mnie?

Wzruszyłam w milczeniu ramionami, idąc gorączkowo szybkich krokiem naprzód.

– Z samej siebie? – naciskał dalej.

– Naturalnie! – rzuciłam opryskliwie.

– No to jest w tym coś z jasnowidztwa, panno Wando, gdyż do tej pory nie znalazła pani ani czasu ani okazji, by uzyskać takie zdanie o mnie poprzez obserwację.

— Już panu mówiłam, coś takiego się czuje — to znaczy, kobieta to czuje! Wy mężczyźni... — przerwałam nagle, gdyż sama poczułam się bardzo dziwnie, wydając takie osady, a on nie nalegał, bym dokończyła zdanie. Wydało mi się, jak gdyby on pomyślał teraz moim mózgiem: „Jak on mogła pójść takimi drogami?!”

W międzyczasie dotarliśmy do domu kantora, gdzie przed drzwiami powitał nas osobiście. Z ulgą zostawiłam z nim Doktora i pobiegłam do pokoju Lisbeth. Znalazłam chorą samą, Diakonisa właśnie od niej wyszła i — jak mówił pastor Dorn — zostawiła szwagierkę z wysoką gorączką. Jej twarz, zazwyczaj blada i zwiędła, płonęła niesamowicie różowym kolorem, kontrastując z białą poduszek, a bladoniebieskie oczy spoglądały na mnie badawczo i przeszywająco. Pośpiesznie powiedziała, jak się cieszy, że znalazłam czas, by ją odwiedzić.

— Dlaczego miałabym nie znaleźć dla pani czasu, panno Lisbeth?” — zapytałam zdziwiona.

— No cóż, myślałam, że teraz każdą chwilę chciała pani poświęcić swojemu Doktorowi!

— Mojemu Doktorowi? — zapytałam obrażonym, ostrym tonem.

— Niech pani tego źle nie zrozumie, panno Wando! — powiedziała chora ze strachem, a jej oczy zwilgotniały. — To nie są słowa zazdrosnej starej panny ani też plotki! — (chwyciła moją dłoń i ścisnęła ją mocno swymi gorącymi palcami.) — To prawdziwe zainteresowanie! I troska o pani przyszłość, dziecko! Na wiecznego szulmajstra jest pani zbyt szkoda i o wiele pani za delikatna. Skąd miałby się wziąć w tym naszym zaułku odpowiedni mąż dla pani? Pani ma taką oryginalną, taką nadzwyczaj wrażliwą duszę, chciałabym powiedzieć! No a ten Doktor jest ponoć takim podobnym pani pięknoduchem, co uwielbia sztukę i naturę, jak mówił pastor Dorn. No to pomyślałam sobie, że to już postanowione.

— Ach, niech pani da spokój, panno Lisbeth!” — rzuciłam skwaszona. — Kto myśli o czymś takim? Ani ten obcy, ani ja! Pasowalibyśmy do siebie jak ogień i woda! Lepiej nich mi pani powie, jak się pani czuje!

Jeszcze zanim zdążyłam usłyszeć odpowiedź, wchodząca diakonisa przegoniła mnie, spoglądając wzrokiem pełnym wyrzutu i troski. Wysłałam pospieszenie obiecując, że odwiedzę ją znowu tak szybko, jak tylko to możliwe, co Lisbeth przyjęła z wdzięcznością.

Przed drzwiami spotkałam Doktora i kantora na ławce ogrodowej, zatopionych w metafizycznej rozmowie. Kiedy wychodziłam, słyszałam, jak doktor mówi:

— Nie, panie kantorze, od takich przestarzałych wyobrażeń musi pan się odciąć!

— Tak, gdyby to coś innego nie było tak okropnie beznadziejne! — odpowiedział kantor skromnie. — Kiedy tak się nad tym zastanawiam, w ogóle nie wiem, w którą stronę myśleć.

— Ależ nie! — wtrącił Doktor i od razu przerwał, kiedy mnie zobaczył, od razu też się pożegnał z kantorem jednym zdaniem: — No cóż, następnym razem jeszcze o tym porozmawiamy!

Było już dość ciemno, kiedy dotarliśmy z powrotem do wioski. Wrzało we mnie. Pałałam niechęcią wobec matki i Lisbeth, które swym milczącym uśmiechem i gorączkowym gadaniem chciały mnie przybliżyć do Doktora. Coś się we mnie wzdragało przeciw tym wpływom z zewnątrz i nieświadomie ta niechęć zwróciła się przeciw mężczyźnie u mego boku. Czułam nieodpartą chętkę, by go jakoś wyprowadzić z równowagi. „Gdyby tak coś powiedział, na co mogłabym mu ostro odparować!” — tego pragnęłam w tej chwili z całej siły.

Na wyżynie musiałam nieco odpocząć; z wewnętrznego wzburzenia zapierało mi dech. Słyszałam z boku Doktora, jak walczył,

by złapać oddech, i od razu naszedł mnie rozluźniający przypływ współczucia, że musiał on z mojego powodu – ponieważ tak szybko podążałam w górę – nadwreżyć swoje siły. Ale w to uczucie wmieszała się też chłodna pogarda dla tego, tak widocznego, braku męskiej siły.

Wtedy nagle zaczął niezwykle cichym głosem mrużyć coś jakby sam do siebie:

– Noc już: teraz głośniejsze mówią wszystkie bijące źródła. I także moja dusza jest bijącym źródłem.

Noc już: dopiero teraz budzą się wszystkie pieśni kochających. I także moja dusza jest pieśnią kochających.

Niezaspokojone pragnienie jest we mnie, pragnienie nie do zaspokojenia, które chce wyjść na jaw. Żądza miłości jest we mnie, ona sama mówi językiem miłości.

Noc już: teraz wybucham pożądaniem jak gniewem – pożadam mowy.

Tako śpiewał Zarathustra!

Ukołysane tymi rytmemi moje zdenerwowanie powoli cichło i krok po kroku wokół mnie wylaniał się krajobraz spoza welonu, którym jeszcze przed chwilą zasłaniała go moja buzująca krew. Jak dalekie gwiazdy w bezkresnej głębi błyskały światła okien tam na dole w mroku między drzewami, a w mlecznym zapachu rozległej równiny myśli rozplływały się jak bezkształtne i bezgłośnie fale. Również ostatnia strofa nie pchnęła mnie ku nowemu protestowi, choć wysnułam z niej nieomylnie, kto mógł być twórcą tej mrocznej pieśni. Płakałam bezgłośnie, w głębi siebie, i podniosłam rękę, by zahamować fale łez, które płynęły błyszcząc po moich policzkach.

Staliśmy tak bez słowa jeszcze chwilę w ciemności obok siebie.

Wiedziałałam, że widział moje łzy i uznałam to za oczywiste, że milczał i czekał. Poszliśmy potem przez las jedno obok drugiego

milcząc w kierunku leśniczówki. A las pełen był ciężkich, wilgotnych zapachów i rozbrzmiewał mrocznymi, ospałymi tonami.

Przy furtce ogrodowej poczułam, że muszę coś powiedzieć.

Zapytałam twardo:

– Do czego chciał pan namówić kantora, panie doktorze?

– Namówić, panno Wando? Przekonać – to miała pani na myśli?

– No niech będzie: przekonać.

– Chciałem mu dopomóc wejść w ten prąd, w którym tam na wyżynie także pani dusza się pławiła: w strumień boskiej wszechjedności.

– Wypełnionej Bogiem!

– Nie, boskiej!

Wyrzuciłam wtedy z siebie z goryczą:

– Musi nam pan wszystkim w dolinie zatruwać tym umysły?

I mój głos załamał się w siłą powstrzymany szlochu.

– Panno Wando! – zawołał zakłopotany, a moje serce zastukało w tym szlochu szybciej z radości, że w jego głosie pojawił się smutek.
– Panno Wando, nie uważam tego za obyczajne, że ktoś tak brutalnie sam siebie uderza w pierś. Nie tylko nieobyczajnie – nawet nieestetycznie.

Nie wiedziałam, co mam odpowiedzieć, a zdrtwienie w moich ramionach przeszkodziło mi w tym, by rzucić mu się na szyję, do czego moje serce usilnie parło.

Tak więc pobiegłam jak szalona przed nim do domu. Kiedy za mną przyszedł i bez życzenia dobrej nocy poszedł do swego pokoju, tego nie wiem.

Przez następny tydzień pracy szłam jak przez puste sale z zasłoniętymi ścianami. Wykonywałam swoje obowiązki jak maszyna. Tylko czasem jakieś jedno ze zdziwionych spojrzeń znajdowało drogę do mej świadomości.

A przecież w tych dniach musiano nie raz patrzeć na mnie ze zdziwieniem, bowiem w niedzielę wieczorem weszła do mnie hrabina i powiedziała:

— Droga panno, mojemu mężowi i mnie wydaje się, że panią bardzo to boli, iż ma pani odejść z pracy u nas.

Zapytałam zaskoczona:

— Jak to, pani hrabino?

— Cóż, cały tydzień chodziła pani z takimi nieszczęśliwymi oczami.

Byłam zakłopotana, gdyż nie widziałam żadnej możliwości, by wyjaśnić to nieporozumienie. A ona ciągnęła dalej:

— Jeśli jednak tak to panią dotyka, to najpewniej musi pani bardziej lubić dzieci, jakby chciała pani lub mogła to okazać. I jako że, jak zauważyłam, dzieci niechętnie widziałyby pani odejście, chciałabym pani zaproponować, by wszystko zostało po staremu.

— Słyszac to podniosłam rozradowany wzrok, gdyż myśl, że będę mogła pozostać z ojcem i z moją doliną, była dla mnie, szczególnie w tym momencie, niesłychanie pocieszająca.

Hrabina wzięła moje spojrzenie za dobrą monetę i zadowolila się nim, tak jak i pocałunkiem w rękę na znak podziękowania.

Po południu tego dnia zaczęły się moje ferie letnie i przeniosłam się na kilka tygodni do leśniczówki.

„I co teraz będzie? Co będzie?”

Żadna inna myśl nie znajdowała miejsca w mojej głowie, kiedy szłam przez las w kierunku mojej doliny. Jak miałam znieść ten bezgłośny stan wojenny, który wywołałam w zeszłą niedzielę?

A jeśli Doktor już się wycofał?

Boleśnie świdrowała ta myśl w moim sercu; przyspieszyłam kroku, jak gdybym mogła zatrzymać odchodzącego. „Nie” zastanowiłam się, „Tak nie może być! A jednak — co teraz będzie?”

Zobaczyłam go, jak stoi przed furtką ogrodową i gawędzi z moim ojcem. Doznałam uczucia, jak gdyby lodowa powłoka, która przez ten cały trudny tydzień ścisnęła moją pierś, opadła nagle i rozprysła się z cichym, srebrnym tonem. Zerknęłam na ich twarze i dojrzałam wesołe uśmiechy na powitanie, który zdały się mówić: „To już wszystko zapomniane!” Ale kiedy z uczuciem wielkiej wdzięczności popatrzyłam dokładniej, zauważyłam, że jego wyraz twarzy był raniąco pusty i obojętny. „On wszystko zapomniał!” dotarło nagle do mojej świadomości. „Tak jest! Nie było to dla niego warte pamiętania! A dla ciebie — ?”

W czasie następnych dni odpoczynku, które rozpoczęły się wielką radością moich rodziców wobec mojego pogodzenia się z hrabiną, naszedł mnie stan miłego cielesnego i duchowego letargu. Pod wpływem upalnej lipcowej pogody zanurzyłam się w nieobcym mojej istocie stanie trwania, podobnym roślinom, w śnie na jawie. Godzinami leżałam w moich hamaku i przyglądałam się, jak wierzchołki drzew cicho kołyszą się nade mną, jak gdyby słaniały się od upału. Ale Doktor cierpiał bardzo z powodu parnego powietrza, które nawet w naszym lesie i trawiastej dolinie dawało się we znaki.

Często pokazywał się dopiero pod wieczór, kiedy cień rzucany przez dom szedł przez łąkę i sięgał aż do skraju lasu; zabierał ze sobą często jakąś książkę, z której mi czytał na głos.

— Niech pani pozwoli, że zejdziemy z drogi wszelkim problemom. — powiedział, zanim zaczął czytać. — Jestem zmęczony do głębi serca. A problemy zawsze tworzą atmosferę walki i niezgody. Dzisiaj poczytamy Eichendorffa; te gorące letnie dni jak z południa Europy są do tego stworzone.

Tak więc czytaliśmy o zachwycających przygodach „Nicponia”, a w zapadającym mroku dwóch wczesnych wieczorów, kiedy księżyc

ciekawie zaglądał na naszą łączkę poprzez wierzchołki drzew, czytaliśmy „Marmurowy obraz”. Kiedy jednak upał sięgnął szczytu, marzyliśmy pod jodłami w rytm mrocznej opowieści Raabego „W młynie Pfistera”. Najczęściej leżeliśmy wtedy w wysokiej trawie pomiędzy stokrotkami, chabrami i wydzielającymi eteryczny zapach ziołami, otoczeni brzęczeniem i bzykaniem niezmordowanego tłumu pszczół. Moje owieczki pasły się spokojnie niedaleko i spoglądały od czasu do czasu głupawym wzrokiem na czytającego Doktora. Co jakiś czas widać też było drapieżnego ptaka, który majestatycznie zataczał kręgi w drgającym błękitie nad nami, z którego, jakby w kształcie widocznych kropli, spływał upał na cicho drżący las.

W tych dniach wszystko powoli we mnie usypiało: niepokój, tęsknota, życzenia i wola.

Gdzie była w tych momentach moja dusza?

Czy już wcześniej, znacznie wcześniej, spoglądała swymi kwietnymi oczami w upalne lipcowe niebo i unosiła się teraz znowu nad tamtym cichym miejscem?

Także to, co zachodziło w moim otoczeniu, umykało mojej świadomej uwadze. Tak więc cichy smutek ojca, któremu pozwalałam iść samemu co wieczór na spacer do lasu, i tak samo głośna radość matki, nie robiły na mnie żadnego wrażenia.

Nic mnie nie denerwowało i nic nie zniesmaczało; bowiem nic do mnie nie dochodziło. Pomiędzy światem a mną stała nieprzebyta, ale przejrzysta, czysta jak kryształ ściana, i także dusza Doktora docierała do mnie przez tę ścianę; nie mógł mnie porwać do siebie. Wiedziałam tylko, że go kocham i że jest on i będzie treścią mego życia; ale kochałam go tak, jak kochałam słońce, wtedy, kiedy byłam jeszcze kwiatem w dolinie, które to kwiaty wszystkie kochają słońce:

umierają, kiedy go nie widzą, a przecież nigdy nie były z nim zjednoczone. Pewnego dnia przyszedł pastor Dorn, zdziwiony, że wcale nie pokazują się we wsi. Panna Lisbeth ciągle jeszcze poważnie chora, nie wiadomo, co z nią może być, prosi o wizytę. Powiedziałam, że odwiedzę ją jutro. Ale następnego dnia wewnętrzne postanowienie, że dziś jej złożę wizytę, stało się słabsze od mojego zespolenia z lasem i matą, tak że przesunęłam wizytę o jeszcze jeden dzień.

Po południu tego właśnie dnia siedzieliśmy na ławeczce w kamieniołomie, Doktor i ja. W bezgłośnym upale, który spływał ponad czubkami drzew nawet w nieckę kamieniołomu, ciemne lustro nieruchomej wody leżało nieodgadnione w dole pod naszymi stopami.

—To jest jak pytanie o niegdyś. — powiedział w zamyśleniu doktor. — Ono wabi jak pani, by rzucić się na jego rozwiązanie. I gdybyśmy to učinili, co zyskalibyśmy? Nie to, czego szukamy: odpowiedzi.

— A dlaczego nie? — spytałam zmrożona.

— Ponieważ odpowiedzi nie ma.

— To byłoby beznadziejne!

— Nie, to nie jest beznadziejne! Ponieważ to jest Nic, a Nic nie jest beznadziejne! To jest właśnie Nic i dlatego wieczna szczęśliwość!

Jak smagnięcie pejczem dosięgły te słowa mojego śpiącego Ja.

— Tak nie jest! — wykrzyknęłam zrywając się z miejsca. — I nawet pan sam tak nie myśli! To tylko wyprowadzone na manowce chcenie w panu. Niewyuczone, jak — jak moja niedoświadczona wiara w litery. Ona jest niewystarczająca, ale to, co pan uważa, jest błędne; wiem to, doskonale to wiem! Tam wewnątrz serca mam niewzruszoną pewność. Co jednak jest prawdą, i jak jest, wie tylko Bóg! A teraz — proszę powiedzieć w domu, że poszłam jeszcze szybko do Lisbeth. Sama nie wiem — jest mi jakoś tak ...

— Czy mam iść z panią?

— Proszę, nie! Dzisiaj nie. Tym razem pójde raczej sama!

I jak szalona pośpieszyłam w górę leśnej doliny. W momencie, kiedy właśnie chciałam zacząć schodzić z przełęczy do leżącej w dole wsi, dobiegł do mnie poprzez gorące i parne powietrze drżący matowo głos dzwonu.

„Czy to już dla niej?”

Moje serce stanęło na chwilę na tę myśl; jeszcze szybciej kroczyłam przez wyludnioną w czasie żniw wieś. Przez nikogo niepytana i sama nie mogąc zapytać, dotarłam do domu kantora.

Jak przerażająco cicho było w kamiennej sieni! Nieruchomo — mrocznie, jak staw na dnie wapiennego kamieniołomu!

Biorąc głęboki oddech, stałam bezradnie przez chwilę. Wtedy otworzyły się drzwi do pokoju Lisbeth; ostrożnie, na palcach wyszedł stamtąd kantor. Spojrzeniem pełnym łez i niemego wyrzutu powiedział niepytany:

— Już jej nie ma! Przychodzi pani za późno, panno Wando!”

Ogarnęła mnie wściekłość.

— Nie! — wykrzyknęłam. — Nie, to nie może być! To byłoby nie zniesienia! Nie miałam prawa, nie mogłam tego przeoczyć!

— Ale tak właśnie jest! — powiedział łagodnie. — I ona za panią tęskniła, jeszcze wczoraj; ja nie chciałem być nieskromnym i przeszkadzać, w przeciwnym razie posłałbym po panią.

Myślałem...

Ten szlachetnie odczuwający mężczyzna przerwał, gdyż spostrzegł, jak bardzo cierpię.

W milczeniu otworzył mi drzwi do pokoju zmarłej. Załamując ręce, z zaczerwienionymi oczami poszłam za nim. I kiedy zobaczyłam, jak tak leżała, z zakłopotanym uśmiechem na bezbarwnych

wargach, jak gdyby chciała na swój skromny sposób powiedzieć: „Tak, kochana Wandeczko, przykro mi, ale”... — i wtedy upadłam szlochając na kolana przy jej łożu śmierci. Od tego „za późno” nie mogłam wyzwolić się przez długie tygodnie.

Nie była to tylko skrucha, że z powodu mojego egoistycznego rozmarzenia zapomniałam o chorej i nie usłyszałam jej cichej tęsknoty za mną. Było to pierwsze prawdziwe trwożne zamyślenie nad moją własną naturą, która — widziałam — tak bezmyślnie sprzeniewierza się moim najgłębszym odczuciom.

Nie ma bardziej gorzkiego uczucia jak to, gdy nie można wybaczyć sobie samemu. A to czyni człowieka opryskliwym i nieuprzejmym na zewnątrz, dla każdego. Czułam, że cały dom znajdował mnie jako okropną jędzę — musiał mnie tak postrzegać. Sama siebie znajdowałam jako okropną, ale nie mogłam tego zmienić, tak, nie miałam nawet wystarczająco dużo siły w sobie, by tego chcieć.

Pannę Lisbeth pochowano, a tropikalne upały ustąpiły chłodniejszej, ale ciągle jeszcze cieplej aurze. W lesie pachniało pikantnie, a dalej nad łąkami unosiła się już cicha melancholia babiego lata.

Samopoczucie Doktora poprawiło się wyraźnie; pogodnie przechadzał się elastycznym krokiem po domu i ogrodzie, a po dwóch czy trzech tygodniach zaczęliśmy znowu nasze wspólne spacerować. Tylko już razem nie czytaliśmy; brakło mi koniecznej koncentracji, by słuchać.

Powoli jego cicha i szczęśliwa pogoda ducha człowieka powracającego do zdrowia zaraziła również mnie, tak że bywało, iż wracaliśmy z lasu śmiejąc się i z piosnką na ustach. Tak więc kiedy po drodze przyłączał się do nas ojciec, wieszałam się radośnie na

jego ramieniu i widziałam z prawdziwą radością, że moje ponowne ożywienie jest źródłem jego wielkiego szczęścia, i że Doktor podczas takich powrotów z lasu do domu nie drażni go już tak swą obcością, choć różniły się one tak bardzo swym głośnym rozradowaniem od wcześniejszych, odbywających się we wzniętym milczeniu, spacerów po lesie. Wciąż jeszcze jednak doznawałam wewnętrznego ukłucia, kiedy matka spotykała nas na schodach werandy i poprzez swe zachowanie jakby nas wszystkich czworo błogosławiła jak jedną już ściśle połączoną rodzinę. Czułam, że w Doktorze za każdym razem coś się przeciw temu gwałtowi z wielką siłą sprzeciwiało. Czułam też jednak — nie bez cichej radości — jak ten sprzeciw z dnia na dzień stawał się coraz słabszy.

Tak nadszedł ostatni tydzień moich ferii i także ostatni — jego pobytu w leśniczówce. Radosne miny matki zyskały powoli cień zmęczenia; dostrzegłam za ich fasadą utajony strach. Ale nie zrobiła przecież niczego, by najwidoczniej utęsknione przez nią wydarzenie jakoś przez uprzejme naciski przyspieszyć. Tylko żartowała z Doktorem o rychłym powrocie, a on odpowiadał, że to oczywiście.

Nie było we mnie niczego z niepokoju lub niecierpliwości, tylko najczęściej głęboki smutek podobny do znużenia w ciele, które zapowiada nadchodzącą pogodę.

Pewnego dnia w naszej lokalnej gazecie ukazał się anons o publicznej licytacji w sąsiednim miasteczku. Chodziło o majątności pewnej samotnej starej panny, która niedawno zmarła. Doktor wykazał duże zainteresowanie tą sprawą; obiecywał sobie zyskać w ten sposób sposobność studiowania większego kręgu naszej małomiasteczkowej ludności.

— Może obejrzymy sobie ten cały kram, panno Wando? — zapytał z rozbawieniem. — Kto wie, w takich starych mieszkaniach

można czasem znaleźć jakiś starodawny, zakurzony przedmiot, posiadający dużą wartość.

– Tak przypuszcza także pastor Dorn! – wmieszała się z niesmiałym naciskiem matka. – Jutro nie ma on jednak czasu z powodu pogrzebu Mejnertowej z Niederdorfu.

– No to zobaczymy, czy będziemy mogli coś dla niego wyszpe-
rać! – zawołał Doktor radośnie, a ja w milczeniu skinęłam głową.

Na trawach i łądygach było jeszcze dużo rosy, kiedy następnego ranka wędrowaliśmy w kierunku miasteczka. Jeszcze dziś czuję tę cudowną rzeškość tamtego poranka i mam w pamięci jej wyzwalające tchnienie. Cóż dziwnego: był to mój ostatni szczęśliwy poranek! Na skraju lasu, tam skąd można już było ujrzeć jeden z dwóch kościołów tego miasteczka, staliśmy długo milcząc, zatopieni w pięknie delikatnego krajobrazu. Spóźniony skowronek wysoko nad nami śpiewał w niebogłose, a ja wiedziałam, że mężczyzna u mego boku radował się moją obecnością, tak jak ja jego. Nie było we mnie krzty niepokoju, że mogłabym ją kiedykolwiek utracić, ani też żadnego pośpiechu, by ją na zawsze zatrzymać. Czułam się bardzo szczęśliwa, także wtedy, kiedy zmierzaliśmy Młyńską Doliną poprzez orzeźwiająco świeżą wilgoć rosy w kierunku strzelającej w niebo wieży kościółka. Wtedy, właściwie tak jak i wcześniej, nie wątpiłam, że on w swym wnętrzu patrzy na mnie tak samo, jak ja na niego: wydawało mi się to naturalną kolejną rzeczą, że on tak samo nieodwracalnie jest do mnie przywiązany, jak do niego.

W malutkim miasteczku cała uwaga mieszkańców była skupiona tego ranka na aukcji pozostawionego majątku i przez to stała się ona tak bardzo publicznym wydarzeniem, że licytację urządzono na placu obok drugiego z dwóch kościołów (ponieważ dom zmarłej stał w jego pobliżu).

W kolorowym pomieszaniu stały przedmioty przeznaczone na licytację, rozmieszczone wzdłuż muru kościoła, a wokół nich mężczyźni, kobiety i dzieci, spychani bezwzględnie na bok przez okolicznych handlarzy starociami. Doktora bawiło przede wszystkim to, jak zażywny licytator, skądinąd spokojny obywatel ziemski, pozwalał opadać swemu młotkowi obojętnie na blat stołu, kiedy mógł wypowiedzieć do końca sakramentalne ”Po raz pierwszy, po raz drugi i – po raz trzeci!”

Gapiono się na nas w dużej mierze, bowiem jako „guwernantkę z zamku” bardzo dobrze mnie tu znano. Raz usłyszałam, jak ktoś szeptał gdzieś z tyłu: „To je ten narzeczony łód nij. Un miszko jużé caluśkie lato w leśnicówce.”

Musiałam się w tym momencie przymusić, by się gwałtownie nie obrócić, a w mym sercu poczułam miłe ciepło. Spłoszonym wzrokiem szybko spojrzałam w stronę Doktora, czy i on słyszał był tę szeptaną uwagę. Ale on odszedł już w międzyczasie ku jakiemuś staromodnemu, krzywemu meblowi, który stał trochę dalej z tyłu oparty o mur, i przypatrywał mu się dokładnie ze wszystkich stron.

Kiedy pochwycił moje spojrzenie, skinał do mnie i powiedział, gdy podeszłam, z radosną ekscytacją:

– Tam jest coś dobrego. Rokokowy sekretarzyk, piękny jeśli idzie o rys i dekoracje, oczywiście mocno zaniedbany. To byłoby coś dla stryja! Kupię to dla niego.

Z początku stałam obojętnie przed tym starym podrapanym i ślepym kawałkiem mebla i słuchałam z wielkim zdziwieniem, że w tym pogryzionym przez korniki rupieciu z jego komicznie wygiętymi na zewnątrz nogami (do tego jeszcze jednej nogi brakowało) miało być coś z rarytasu. Bezwiednie podniosłam ukośny pulpit do pisania i oparłam go o galeryjkę na górnym obrzeżu, której

cyzelowane rzeźbienia rzuciły się także mnie od razu w oczy. Na wewnętrznej powierzchni blatu prześwitywało oryginalne, białe lakierowanie, obramowane delikatnymi, z gracją wygiętymi liniami o złotym kolorze, a pośrodku tego widniało kędzierzawe skłębienie brązowych kresek w formie muszli, rozpoznane przez doktora jako „Rocaille”. To nazwane z obca zdobienie zrobiło na mnie wrażenie.

Wydawało mi się okiem patrzącym na mnie, przez które wyziera i mówi dusza tego mającego już ponad sto lat mebla. Wydawało mi się, jak gdybym słyszała słowa prośby: „Zabierz mnie ze sobą! Zabierz mnie ze sobą!” I jak pod dyktando jakiejś obcej siły powiedziałam nieśmiało:

– Chciałam to kupić dla siebie!

Doktor odwrócił się nagle zaskoczony, a potem wykrzyknął z radością:

– Brawo, panno Wando! To się chwali! – I bardziej miękko, niż kiedykolwiek słyszałam jak mówił, dodał – Jakież wyczucie ma pani dla oryginalnych rzeczy, Wando. Pomimo wszystko!

Gdyby pani tylko jeszcze mogła zawsze opanować małostkowość, która tak często panią rządzi i nie przechodziła ślepa obok szczęścia chwili.

Po tym dictum spojrzałam na niego z zaskoczeniem. Czułam się, jak gdyby ktoś wylał na mnie kubel lodowatej wody, a moim pierwszym odruchem był gwałtowny gniew. Jednakże jego łagodne oczy patrzyły na mnie z taką błagalną siłą, że gniew zaraz rozplynał się w żalu, ale żalowi również nie miałam czasu się oddać, ponieważ właśnie w tej chwili sekretarzyk przyniesiono do stołu aukcyjnego.

Wzbudził on w grupie gapiów szyderczą wesołość. Słyszałam, jak mówiono, że ten rupieć nie jest wart nawet tego, by go spalić w piecu, a jakiś żartowniś zaproponował piętnaście fenigów.

Jeszcze zanim prowadzący aukcję zdążył powtórzyć cenę, doktor krzyknął: „Trzy marki!” Długie okrzyki zdziwienia odpowiedziały z tłumu na tę ofertę, Doktor zaś skinął do mnie ponagląco. Ustawił się do mnie ukosem i patrzył na mnie z jakimś dziwnym napięciem, co mnie bardzo peszyło.

„Czego on chce?” myślałam z na nowo rosnącą niechęcią. „Czy ma to związek z jego mrocznymi słowami sprzed chwili?” Przebiłam go mechanicznie o niewielką sumę, ale myślałam przy tym o wiele bardziej o niejasnych słowach „szczęściu chwili”. Najchętniej uciekłabym już teraz od razu od tej nieprzyjemnej sytuacji.

Byłam już blisko wygrania licytacji, kiedy przebił mnie jeden z handlarzy starociami, wysoki, silny mężczyzna, który w międzyczasie obejrzał sekretarzyk, podotykał go i otworzył blat.

Kiedy tak sunął teraz swymi nieforemnymi rękami po misternie wygiętych nogach sekretarzyka, czułam się, jak gdyby mnie samą przeszywał fizyczny ból, a kiedy postukał ostrożnie w delikatną galeryjkę, chciało mi się krzyżeć z troski, że mogłaby ona rozpaść się pod jego cyklopimi pięściami.

Ale „Rocaille” na pulpicie cały czas spoglądał na mnie błagalnie: „We mnie z sobą! Weź mnie z sobą!”

W ten sposób rozwinęła się między mną i handlarzem starociami gorączkowa licytacja ku uciesze całej cizby, spośród której dały się zaraz słyszeć głośne, sprośne żarty, których nie rozumiałam, a które nagradzane były obrzydłym śmiechem ze strony niedorośliwych dziewczynek i chłopaków. Spojrzenie Doktora czułam dalej, jak świdrowało mnie z bolesnym napięciem.

Już było mi jakoś dziwnie, stać wystawioną na spojrzenia tak wielu, nigdy czegoś takiego nie lubiłam i zawsze uciekałam od takiego masowego oglądactwa jak najdalej. W ten sposób jeszcze jedno

uczucie stało się dla mnie przeszkodą w tym współzawodnictwie o sekretarzyk.

— Dwadzieścia marek! — usłyszałam teraz, jak zaoferował handlarz, a moje zdenerwowanie było już tak duże, że usłyszałam jego toporny głos jakby przez daleki szum lasu.

— Dwadzieścia marek!

Tak dużo pieniędzy za taki rupieć!

Nagle obudziło się moje skapstwo i wyzwoliło usłudzie całą rzeszę nowych wątpliwości. Ociagałam się, by przebić handlarza, ociagałam się w cichej nadziei, że uczyni to za mnie Doktor. Przecież on chciał właściwie kupić ten sekretarzyk dla swojego stryja! Poszukałam jego oczu, ale inni ludzi stali w ścisku między nim a mną, tak że nie mogłam go wypatrzeć. W całe to niezdecydowanie wbiło się nagle twarde uderzenie młotka licytatora zaraz po obojętnym okrzyku: „i po raz ostatni!”

Było to tak, jakby pod tym młotkiem leżało właśnie moje serce, taki kłujący ból przeszył je w tym momencie. Prawie krzyknęłam. Nagle dotarło to do mnie: nie chodziło tu tylko o kawałek połamanego mebla, ja znowu przeoczyłam to „szczęście chwili”. Tak, o wiele więcej, jak tylko to: pod młotkiem flegmatycznego licytatora rozpękło się moje krótkie miłosne szczęście jak szkło; gdyż za jednym razem jasno zrozumiałam, że wstrętne przaśność mojej natury musiała na zawsze odstręczyć Doktora.

Cóż to była za droga do domu!

O, nie ma nic potworniejszego, niż kiedy dwoje samotnych w milczeniu dusi siebie nawzajem.

I to ściskające gardło milczenie kroczyło między nami poprzez młyńską kotlinę i letni las, wytrwale i nieprzeniknienie.

Czy przejrzałam już wszystko wyraźnie, chciałam usłyszeć jeszcze wypowiedzenie mojego wyroku. Ale dopiero przy furtce do ogrodu wyrzuciłam to z siebie ochryple:

– Dlaczego gniewa się pan na mnie, panie Doktorze?

– Gniewam się? – zapytał z troską w głosie. – To jest błędne pojęcie. Gdyby mnie pani zapytała, pani Wando, dlaczego się panią martwię i żałuję, odpowiedziałbym: gdyż jest pani i pozostanie wirtuozką w sztuce nieudanego życia. A ja – niech pozwole mi pani od razu wyznać – ja staram się zostać wirtuozem dobrego życia!

„Ja też! Ja też nie mniej niż ty!” mogłam wykrzyknąć, ale była we mnie jakaś siła, która ścisnęła mi gardło. Dzisiaj wiem, że była to siła mojej wewnętrznej prawdomówności. W milczeniu zatem pozwoliłam, żeby otworzył furtkę i przepuścił mnie przed sobą, bym szła przed nim przez ogród. W milczeniu zniosłam też skargi matki z powodu jego jutrzejszego wyjazdu. Pożegnał się w połowie po polsku. Było to dla mnie bardziej satysfakcją niż bólem, że tak oto uciekał przed dalszymi spotkaniami, co do których się obawiał, że mogłyby one w końcu zagrozić jego wirtuozerii życia. Również ukryte przytyki matki co do jego chwiejnej natury nie wzbudziły we mnie chęci do rozmowy. W gruncie rzeczy musiałam przyznać mu rację: nie było i nie ma we mnie żadnych darów, które mogłyby uszczęśliwić kogoś innego. Tak więc wyszłam bez nienawiści z tego czasu bolesnego miłosnego marzenia.

Ale nie bez namiętnej skargi nad jego utratą i nie bez pokusy, by rzucić za nim tę przasną resztę życia.

Było to trzeciego dnia po tamtej licytacji, w której moje szczęście poszło pod młotek, kiedy zmęczonym powolnym krokiem poszłam o zmierzchu, niezauważona przez matkę (ojciec był jeszcze na rewirze) nad staw w wapiennym kamieniołomie. Siedziałam na ławeczce

i wspominałam wszystkie te godziny, gdy gawędziliśmy tu ze sobą lub w wewnętrznej rozterce zbliżaliśmy się do siebie. Również tę wieczorną godzinę wspominałam, kiedy siedząc obok ojca wywoływałam „cichą radość” w naszym domku. Śmieszne, jak bardzo ojciec miał rację z tym swoim zabobonnym strachem! Ciemna tafla stawu pode mną była dzisiaj tak melancholijnie przyjemna. Tam na dole zapraszało tak wiele ochłody dla palącego żaru w piersi, tak wiele wytchnienia przed wszystkimi wyrzutami wobec samej siebie! I jak gdyby coś wyciągało po mnie ręce, by wchłonąć mnie w dół w piękną, głęboką ciszę i w chłód i w spokój. Ale żeby podjąć tak rozpaczliwy krok, trzeba mieć więcej szybkiego zdecydowania, niż mają je zazwyczaj marzyciele: moje niezdecydowanie uspokoiło bużującą krew na tyle, że przez jej szum mogłam usłyszeć dochodzący do mnie z daleka, z dawnych lat, głos pastora Dorna, który wołał do nas w czasie zajęć przygotowujących do konfirmacji: „Kto czyni samemu sobie szkodę, tego nazwać trzeba arcyłajdakiem!” I moja rozbudzona w ten sposób religijna świadomość okazała się silniejsza niż moje zmęczenie życiem.

W pośpiechu, jak ścigana, wybiegłam połą drogą z wąwozu, w którym znajdował się staw, i – nagle znieruchomiałam w miejscu; przede mną w ostrych konturach, monumentalnie otoczony poświatą wieczornego nieba, stał mój dobry ojciec. Nie mogłam dojrzeć jego twarzy, tym wyraźniej on widział moją oświetloną zachodzącym słońcem. I wyczytał z niej historię ostatnich minut.

– Wanda! – wykrzyknął z takim przerażeniem w głosie, jakiego u niego nigdy jeszcze nie słyszałam. Było w nim więcej matczynego zatroskania, niż męskości. – Wanda! – i rozpostarł szeroko ramiona, jak gdyby musiał mnie powstrzymać.

Ja zaś rzuciłam się jak w ucieczce w jego ramiona i wybuchnęłam nieogarnionym płaczem, podczas gdy on drżącą ręką gładził mnie

po włosach. Jak długo tam staliśmy, tego nie wiem. Powoli mogłam przyjsć do siebie i teraz on zaczął mówić, tylko kilka słów, ostrożnie, jak do kogoś śniącego:

– Pociesz się, moje kochane dziecko! Tak było dobrze! Ty nie jesteś dziewczyna, która nadaje się dla mężczyzny. Uwierz mi! – wokół nas pachnie z tysiąc kwiatów, a istnieją one tylko dla samych siebie. Taka jesteś i ty, niestety – i – dzięki Bogu!

Dobry ojciec! Nie wiedział, że tym tchnieniem jego słów miłości zdmuchnął całkiem jeden płomyk życia!

Ponieważ tymi słowami całkowicie mnie przekonał, że taka właśnie jestem. Tak więc byłam od tego momentu bez przyszłości, a więc właściwie martwa!

Mój Boże, a przy tym ludzie wokół mnie dziwią się jeszcze niekiedy, dlaczego ja zawsze patrzę wstecz na moją drogę życia!

Pewną cichą pańszczyzną życie mi jeszcze jednak dało, a ponieważ ją cierpliwie i w wierności niosę, jestem lubiana w obcych domach i przy obcych paleniskach.

Jeszcze tylko trzy razy życie postawiło mi zadania.

Pierwszym było zakupienie rokokowego sekretarzyka za wszelką cenę. Z trudem odnalazłam handlarza i ponieważ on wyczuł dobry interes, zapłaciłam za sekretarzyk dziesięć razy więcej, niż gdybym wydała wtedy przy dalszym upartym licytowaniu. Był to pierwszy i ostatni luksusowy wydatek w moim życiu.

Drugie zadanie musiałam rozwiązać nad grobem mojej matki. Niestrudzona upadła pewnego dnia martwa w samym środku pracy.

A ostatnim i najcięższym zadaniem było przezwyciężenie śmierci ojca: marniał on powoli w tęsknocie za pracowitą matką, której odejście pozbawiło go najlepszych sił.

Teraz nie mam już żadnego zadania: teraz już tylko czekam!...

Na Wangu

Nie ma w Karkonoszach bardziej nastrojowego miejsca, jak to przy murze cmentarza obok kościółka Wang.

I znów — po raz nie wiadomo który — stałem opierając się o kamienną balustradę, skąd rozpościerał się niczym nieskrępowany widok wokół i także w dół. Poda mną wąwóz Karpacza, dalej szeroka równina Mysłakowic.

Był ciepły wieczór wczesnego lata. W cudownym uśpieniu odpoczywały w dole na zielonych łąkach i w ciemnych świerkowych lasach wokół leśnego domku siły natury, które ten gorący letni dzień rozbudzał właśnie do gorączkowego działania w źdźbłach, gałązkach i w konarach. I jakby wyzwalające odetchnięcie szło także w górę od tych wszystkich kolorowych willi i innych zajazdów, które zaczynał już przemożnie ogarniać zgiełk „sezonu”. Wielki Grzbiet Karkonoszy i Śnieżka piętrzyły się wysoko z mojej prawej strony, tworząc na tle bładoniebiesko skrzącego się wieczornego nieba linię, która zdawała się być wykonana ręką Tytanów. Zachodzące słońce otulało je jasnofioletowym płaszczem poświaty, której piękno i zapach same już wystarczały, by serce Ślązaka mogło zaśpiewać z radości.

Teraz za moimi plecami zabrzmiał wieczorny dzwon z granitowej wieży drewnianego kościoła, który kolorystycznie wdzięcznie się odróżnia w tym śląskim krajobrazie. Ociężałe schodzą głęboko

ku dołowi jego dachy, opierając się belkowej konstrukcji, jak gdyby cała ta budowla przyniosła z sobą w radosny świat śląskich gór coś z przygnębiającego nacisku samotności swej norweskiej ojczyzny.

Uświadomiłem sobie to, kiedy odwróciłem się plecami do doliny i spojrzałem na poważną budowlę kościoła i cichy dreszcz samotności przeniknął moje ciało. Wcześniej życzyłem sobie czasami, by zamieszkać w jednym z tych ślicznych drewnianych domków, które służyły za mieszkanie pastorowi i kantorowi, pośród tego królewskiego odosobnienia od całego ludzkiego zgiefku. Teraz to życzenie znacznie osłabło: kościół i cmentarz dotknęły mnie obcym zimnym tchnieniem. Tak więc odwróciłem się, głodny życia i światła, ku owianej zapachami dolinie.

Dopiero, kiedy — akurat dzwon przestał bić — usłyszałem za sobą posuwiste męskie kroki, którym towarzyszyły drobne krocзки kobiety, znów się odwróciłem i spotkała mnie radosna niespodzianka: u tej starzejacej się pary, która zbliżała się teraz powoli szeroką dróżką między murem a grobami, spędziłem przed rokiem bardzo nastrojowe popołudnie. Daleko stąd na równinie, u stóp Ślęzy, przegawędziłem z nimi pod akacją rosnącą na idyllicznym podwórzu plebanii długą miłą chwilę, jakbym siedział u „świętobliwego pastora w Grünau”.

Nie mogło mi się przydarzyć nic miłszego niż spotkanie tej pary: Filemona i Baucis. A nasze ponowne spotkanie zdawało się być miłe również im.

Stary pastor wymachiwał jak młodzieniaszek swym zupełnie niepastorskim słomianym kapeluszem ze sztywnym rondem i przesuwiał pośpiesznie — tak jak to było w jego zwyczaju — palcem wskazującym i kciukiem prawej ręki po swym mocno posiwiałym wąsie, który bardziej pasował jakiemuś majorowi w stanie spoczynku,

niż duszpasterzowi. Jego małżonka jednakże znowu sprawiła na mnie wrażenie, jakby zesza z jakiego obrazu Kerstinga czy Krügera lub jakieś innego frapującego malowidła, które zawdzięczamy czasom, gdy dziadek brał za żonę babcię. Z ujmującym uśmiechem, w myśl dawnej uprzejmości z tamtych dni podała mi dłoń; i w geście, i w sile uścisku dłoni zawierał się pogłos rokokowego czaru. Zjednoczeni w delectowaniu się spokojnym krajobrazem u naszych stóp, siedzieliśmy potem we troje na ławeczce przy cmentarnej dróżce.

— To jest jak sen — powiedziała po chwili niemej adoracji pastorowa swym miękkim tonem głosu — jak sen, że miałyby to zdarzyć się czterdzieści lat temu! Czterdzieści lat! I ile wszystkiego tam się zawiera! A przecież — widzę nas całkiem wyraźnie, jak idziemy tą drogą do góry, jak gdyby to było wczoraj!

— Tą drogą tam? — wtrącił pastor. — Pozwól, drogie dziecko: o takiej pięknej drodze nie było wtedy nawet mowy! To było przecież tylko coś na kształt górskiej ścieżki. I przecież to, że wysiedliśmy już przy leśnym domku, nie było spowodowane tylko twoim współczuciem dla koni: przecież byłoby całkowicie niemożliwe, by dojechać pod samą bramę cmentarza.

— No dobrze, Karolu, masz rację! — przyznała dobrodusza staruszka. — Również nasze meble musiały być wniesione na plecach, łącznie z moim fortepianem.

— Jeszcze dziś mam przed oczami, jak się o niego bałaś, Minko! — drwił pastor dobrodusznie. — Ponieważ musi pan wiedzieć, drogi przyjacielu — zwrócił się do mnie — z panem Blüthnerem musieliśmy się zawsze dzielić jej miłością.

— Ty bezbożny przeniewierco! — z żywym rumieńcem na twarzy bronila się pastorowa i ta sześćdziesięcioletnia kobieta uśmiechnęła się przy tym z urokiem młodej dziewczyny. — Jak gdybyś ty również nie kochał i nie był mu tak samo wdzięczny.

— Oczywiście, że jestem mu wdzięczny! — potwierdził z powagą pastor. — Nie masz rzeczy, której musiałbym być bardziej wdzięczny, jak jemu. A dziś, przypominając sobie, jak było wtedy i o naszych dwóch zimach tam na górze, jestem wdzięczny podwójnie.

— Wasze dwie zimy tu na górze, panie pastorate? — zapytałem nic nie rozumiejąc.

— Tak właśnie, drogi przyjacielu, pan jeszcze nic nie wie? — odpowiedział pastor po tym, jak przyjrzał mi się ze zdziwieniem. — Pan nie wie, że ja tu na górze już raz urzędowałem?

— Nie!

— No to niech pan posłucha opowieści!

Był to mój pierwszy urząd. Dokładnie dzisiaj przed czterdziestu laty go objąłem. Dlatego właśnie dzisiaj tu jesteśmy. A wprowadziliśmy się tam jako świeżo zaślubieni.

— Miodowy miesiąc jakich mało. — wtrąciłem.

— To prawda! — zgodziła się pastorkowa i znowu jakby dziewczęcy rumieniec wstydu opromienił szlachetne rysy jej rasowej twarzy.

— Tak, to było piękne! — potwierdził jakby w rozmarzeniu pastor. — Słodki, rozkoszny czas tylko we dwoje, lub znacznie więcej: we troje. Ponieważ Blüthner był właśnie od początku z nami w roli mego niewygodnego rywala.

— On zawsze musi się przekomarzać i wygłupiać! — powiedziała staruszka, a ja mógłbym być za ten ton i to spojrzenie całować ją po rękach.

— Kiedy wychodziliśmy rano przed drzwi — ciągnął pastor z uśmiechem — a poranne słońce oblewało dziedziniec kościoła, groby, naszą plebanię, szkołę i kościół swym pełnym, ciepłym światłem, a kiedy potem błyszczące drewno kościelnej ściany rozbłysło głębią starego brązu i kiedy z tamtej strony, z boru zaśpie-

wały ptaki, a oprócz nich wszystko wokół nas było jedną samotną ciszą, mój miły przyjacielu, to wtedy przyszła nam myśl: „Tej chwili chciałbym rzec: pozostańże, jesteś tak piękna!”

— A jednak nie został pan tutaj, pastorze? — zapytałem po chwili, w której tych dwoje starsuszków rozmarzało się o wiośnie swego małżeństwa.

— Pańskie pytanie rzeczywiście jest uzasadnione, drogi przyjacielu! — odrzekł pastor.

— Ponieważ nie zna pan Wangu z tamtych czasów. Proszę, niech pan podejdzie ze mną bliżej muru. Z tych wszystkich hoteli, których siłą prawa przynajmniej z jednej strony nie dopuszczono pod sam kościół, nie było wtedy ani śladu. I także nic z tej mieszaniny gospód i willi od strony Chlebowej Budy. Raptem cztery chałupy można było wtedy wypatrzeć tam w dole. A poza tym, niech pan sobie wyobrazi, że poza kantorem z żadnym z ludzi nie dało się dłużej porozmawiać o niczym innym, jak tylko wycinka drewna, hodowla kóz lub gospodarowanie w pensjonatach. No to na pewno pan się domyśla, co nas dwoje urodzonych mieszczuchów stąd wyгнаło: była to samotność i tylko ona!

— Tak, samotność! — powiedziała pastorowa kiwając głową, a przez jej delikatne ciało przeszło jakby ciche wzdrygnięcie. — Ta straszna samotność!

— Była on straszna, par excellence straszna! — potwierdził pastor. — Najpierw zatrważająca, a potem zwyczajnie straszna. W lecie była tylko cichą groźbą. Bowiem już wtedy widziało się codziennie obcych, którzy szli przez cmentarzyk, by podziwiać ten kościelny rarytas. Już wtedy miał on renomę największej osobliwości w całych górach. Naturalnie, porównawszy to z dzisiejszymi „wędrownkami ludów”, były to tylko małe „stadka”. Jednakże zapewniało to jakąś

odmianę. Jednak lato nie pozostawało na zawsze! A jesienią, kiedy przychodziły mgły, również budynek kościoła pokazywał swoją pierwotną naturę. Stał on tam: skamieniałe, nordyckie milczenie, w bezruchu Norny.

Musiałem z aplauzem skinać pastorowi, gdyż pomyślałem o tym, co mnie samego przed półgodziną dotknęło chłodnym tchnieniem.

— A z tymi mgłami — ciągnął pastor — przychodziła pnać się w górę samotność, powoli, ale ze śmiertelną nieuchronnością. Mój Boże, ten potworny listopad z jego niekończącymi się deszczami, które nakładały na nas areszt domowy!

— Tak, to było przerażające! — dodała pastorowa.

— A my dwoje młodych ludzi tak bez żadnego zabierającego czas zajęcia! Ona w nowym gospodarstwie domowym obok dobrze przygotowanej gosposi, którą nam przysłano, bez żadnego wystarczającego zadania, a ja także w jeszcze całkiem młodej parafii, bez poważniejszego obciążenia. Poza niedzielnym kazaniem właściwie żadnych duszpasterskich obowiązków, gdyż ci ludzie byli całkiem nieprzywykli do tego, by mieć u siebie pastora. Ich trudne, pełne trosk życie nie pozostawiało im czasu na podejmowanie pastora i rozmowę. A studia? Mój Boże, bez jakiegokolwiek inspiracji ta mgła zadusi każdą chęć do tego. Ale coś innego, niesamowitego wyciągnęła ona z mrocznych zakamarków serca: niezgodę i chęć dokuczania. Musiałyby to być anioły w niebie, żeby w takich warunkach nie skakać sobie do oczu. Czemu miałbym to przed panem ukrywać, drogi przyjacielu — to było przecież już tak dawno temu! Ta samotność była już bliska tego, by zdusić szczęście naszej miłości i naszego małżeństwa, zdusić skrytobójczo w jesiennej mgłę i zimowym śniegu! Mam rację, Minko?

— Tak było, Karolu! Niestety! — odpowiedziała pastorowa bezbarwnie.

— I widzi pan, wtedy ten błyszczący wypolerowanym hebanem, trójnożny przyjaciel stał się naszym ratunkiem! — wykrzyknął z ulgą pastor. — Pędzeni jakby trwoga, tak jak skowronek goniony przez jastrzębia śpiewa w niebogłosy, tak my graliśmy, godzina za godziną, przez większość dnia, na dwie ręce i na cztery ręce, łatwe i trudne utwory, klasyczne i nieklasyczne, a pod koniec już prawie tylko Beethovena. I za pomocą jego czarodziejskiej siły unieszkodliwiliśmy te pełzającą mgielną truciznę samotności i śmiertelnej nudy. Zaczęło nam się powoli wydawać, jakbyśmy nie mieli żadnego innego życiowego zadania, niż prowadzić wojnę tonami przeciw przedwczesnej duchowej śmierci. Płynęliśmy na tej naszej śmiesznej wyżynie, gdzie w zimie nawet listonosz czasami nie odwiedzał nas przez osiem dni, jak na falach morza nut. I w takim dźwięczeniu i śpiewaniu został poczęty on, którego zabraliśmy po dwóch i pół latach tej walki z samotnością, zawiniętego w becik, do nizinnego probostwa u stóp Sobótki.

— Tak, nie było to, Bóg jeden wie, nic dziwnego, — powiedziała w zamyśleniu staruszka — że już od pierwszego gaworzenia żył on muzyką i dla muzyki.

— O kim pani mówi? — zapytałem nieśmiało, gdyż myślałem o wysokim nagrobku, do którego staruszek zaprowadził mnie przed rokiem obok tamtej drugiej plebanii.

— Stał pan nad jego grobem. — odpowiedział pastor bezbarwnie.

Nie pytałem dalej, wiedziałem bowiem, że ich synek umarł w momencie, kiedy stawiał pierwsze kroki na szczeblach sławy wirtuoza.

Potem długo jeszcze patrzyliśmy milcząc w dolinę, jak gdybyśmy musieli policzyć z ciekawości te wszystkie samotne światełka, które teraz, jedno po drugim, zaczęły się zapalać w ciemności.

Wtedy ta filigranowa kobieta powiedziała z lekkim drżeniem jej dobrotliwego głosu:

— Ach tak, są samotności, przeciwko którym nie pomoże ani Blüthner, ani Beethoven. I trzeba dziękować Bogu, jeśli z tego są potem samotności we dwoje, takie, jak nasza. Nieprawdaż, dziaduniu?

— Ależ tak, najdroższa, trzeba i można dziękować! — odpowiedział pastor i pocałował wąską, powiędłą dłoń, którą ona położyła na jego ramieniu.

Ja natomiast żałowałem, że nie mogłem już w ciemności dostrzec tego dziewczęcego rumieńca na dobrej, zwiędłej twarzy.

Staromodny człowiek

W całym domu majstra ślusarskiego Gustawa Bergera wyczuć można było niemałe podekscytowanie: majster Gustaw i jego czternastoletni syn pakowali się do podróży w góry. Podróż miała potrwać całe dwa dni.

Dwa razy będzie się jeść obiad złożony z kanapek gdzieś w obcym miejscu i nawet jeden raz będzie się nocowało w obcym miejscu, w gościńcu. Nie było to żadną drobnostką dla majstra Gustawa i jego syna, a kurczowe zastanawianie się nad tym, czego wszystkiego to nie należałoby wziąć ze sobą, podniecało nie tylko dwóch obieżyswiatów, lecz także rezolutną panią domu, starego czeladnika, a nawet bezczelnego chłopaka, uczącego się tu zawodu. Jego jednakże chyba tylko dlatego, że pochodził z gór od strony Lubawki, w które to właśnie wędrownicza pasja ciągnęła majstra.

Że taka właśnie pasja go opanowała, można było łatwo zgadnąć, gdyż w całym miasteczku nikt nie podróżował tak wiele, jak on — mianowicie na papierze i w myślach. Bo też nikt nie czytał tak zawzięcie jak on wszystkich gazet z jednakowo wielkim zainteresowaniem wszystkim, co tam było, włącznie z opisami podróży. Tak więc bywał i wędrował już „w myślach” za pomocą swej wybujałej fantazji we wszystkich dalekich i bliskich, cudownych i czarodziejskich krajach i przywiózł z nich w swej szczęśliwej

pamięci moc wrażeń i przeżyć. W niedzielę — po południu lub wieczorem — po zamknięciu warsztatu, siadywał schowany za gazetą (książki brał raczej rzadko do ręki; czytanie książek wydawało mu się zbyt ambitne!) trochę rozkojarzony, złote okulary dla krótkowidza na oczach zbliżonych niebezpiecznie blisko do pisma: ot była to godzina jego podróżniczego i życiowego ubogacenia.

Okulary i oczy nie całkiem pasowały do twarzy wprawnego mistrza ślusarskiego: nadawały mu one pozór tajnego radcy (nawet jeśli tylko radcy kancelaryjnego), te jednakże (oczy) były oczami wątego marzyciela i myśliciela, nieśmiało kpiarskiego badacza świata i ludzi, a między nastroszonym zarostem wyżej i niżej bardzo delikatnych ust igrały kpiarskie ogniki wielkiego poczucia humoru; ale znowu tylko bardzo nieśmiało i niezdecydowanie. Gdyż nieśmiałość i niezdecydowanie były dwoma najbardziej nieślusarskimi cechami charakteru majstra Gustawa.

One to ponosiły największą winę za to, że majster Gustaw mógł przeżyć czterdzieści pięć lat, ani razu nie podróżując inaczej, jak tylko w myślach, w przeciwnym razie byłby już wcześniej wzniósł się do lotu w nęcące dale pomimo wszystkich zahamowań i przeszkód, które gnuśne życie postawiło na drodze jego zdecydowanego parcia do podróżowania. Nie były one oczywiście małe, te przeszkody.

Kiedy majster Gustaw ledwo co został czeladnikiem u swego bywałego w świecie ojca (nie na darmo nazywanego „Kopenhasczykiem”), ten zmarł i odchodząc na zawsze, złożył na barki siedemnastoletniego syna ciężar interesu i opiekę nad owdowiałą matką oraz czworgiem osieroconego rodzeństwa. Więc godziny musiały być skrzętnie wykorzystane w szybkim biciu młotką i bezustannym piłowaniu pilnika, a myśli Gustawa były tak żarliwie zajęte gonitwą za codziennym chlebem i za wystarczającą klientelą, że nie miały już czasu iść w dal.

I także brakowało prawdziwego bodźca do tego, gdyż wtedy w miasteczku, które oddalone było o wiele mil od żelaznych arterii komunikacyjnych, umierało jeszcze wielu ludzi, którzy gwizd lokomotywy znali tylko z opowiadań.

Jednak teraz, kiedy jego rodzeństwo już dawno wyrosło, a on sam wziął sobie żonę, powitał i pochował dzieci, a najstarszego syna wysłał już nawet do pierwszej komunii, pokusa do prawdziwego wyruszenia w siną dal naszała go w takiej formie, która szczególnie jemu sprawiała dużą trudność, jeśli wręcz nie uniemożliwiała przeciwstawienie się jej. Majster Gustaw był, jak wszyscy zresztą śląscy, małomiasteczkowi rzemieślnicy, urodzonym człowiekiem zrzeszonym, a w pierwszej linii człowiekiem towarzystwa śpiewaczego. Natura obdarowała go dźwięcznym tenorem (który również dla ślusarza jest pełen stylu!) i w ten sposób zaprowadziła samo przez się na drogę śpiewacza. Już dwie i pół dziesiątki lat ćwiczył zatem niczego nie przeczuwając pieśni wędrowne, miłosne, libacyjne i arie weselne, by je później wyśpiewać hucznie z kościelnego chóru i z podium koncertowego, nie żywiąc przy tym najmniejszej obawy, że treść jego pieśni mogłaby nagle nabrać dla niego konkretnego znaczenia. Ponieważ nie pił on (z oszczędności i ponieważ mu to szkodziło) prawie wcale, miłość nie uderzyła mu do głowy jak szkwał, lecz rozwijała się spokojnie w powolnym przyzwyczajeniu do swej wybranki; śmierć wydawała mu się rzeczą, która go jeszcze długo nie będzie dotyczyć, i co najwyżej w przyływie patriotycznego uniesienia (z armią nie miał nic wspólnego) został trafiony gorącym szprycerem, gdy podczas trzech uroczystości po podpisaniu pokoju w 1864, 66 i 71 fetował śpiewając wraz z towarzystwem, z powracającymi do domu żołnierzami.

Teraz jednak kwestia pieśni wędrownych miała stać się śmiertelnie poważną sprawą! A winę za to ponosił nowy dyrygent stowarzyszenia śpiewaczego, kantor Raschke. W ocenie majstra

Gustawa był on „niespokojnym duchem”, ponieważ chciał nie tylko śpiewać: „Wędrówka jest radością młynarza”, lecz przeforsował w towarzystwie postanowienie o wycieczce w Karkonosze. Przy tym jednak, jak było powiedziane, nie mogło zabraknąć najlepszego tenora, właśnie naszego majstra Gustawa, aby ta wycieczka nie stała się „hańbą dla całego cechu śpiewaczego”.

Tak więc majster Gustaw nie mógł już się dłużej opierać. Kto wie, czy by się w końcu nie wymówił jednym z jego wprawdzie bardzo nieślusarskich, ale już znanych w całym miasteczku napadów migreny, gdyby już od samego początku nie było zaplanowanym, że jego Maksik, który właśnie ukończył szkołę, pojedzie razem z nim. Zepsucie chłopakowi tej szalonej uciechy byłoby dla majstra Gustawa jeszcze trudniejsze, niż decyzja o własnym wyjeździe. I tak to pakował się dzisiaj do jutrzejszego wyjazdu.

Pośrodku podłogi obszernego pokoju bawialnego leżała szkocka chusta w szeroką kratę, pochodząca jeszcze z czasów babci, a na niej mały Mont Blanc wszelakich rzeczy: dla ojca i syna zapasowy garnitur, dwie pary kapci mocniejszego kalibru, pudełko z maściami i niewielka kolekcja buteleczek z kroplami, majstra Gustawa „apteczka podróżna” (czytał on wiele o przydatności tych środków w razie, nie przymierzając, zaczynającej się biegunki, kolki lub przeciwko zdradliwie zakradającym się bestiom z gatunku *Lupus!*), dalej pół tuzina chusteczek obok dwóch zapasowych skarpetek i jeszcze moc innych rzeczy, skrywających się skromnie pod ubraniami i bielizną. Nie wolno tu w żadnym razie pominąć kompletnego zestawu do czyszczenia butów z wszelkiej maści szczotkami do czyszczenia, smarowania i glansowania, wraz z bufiastym gałgankiem do glansu. Majster Gustaw dołożył go do innych rzeczy, ponieważ przeczuwał z całą słuszością, że przy

takim natłoku śpiewaków z zespołu służący wyczyści jego buty dopiero na samym końcu, więc dobrze uczyni, jeśli będzie mógł w tej sprawie sam zadbać o siebie.

Ponad wszystkimi tymi zniesionymi do kupy rzeczami zawiązał majster cztery końce chusty i za pomocą kilku rzemieni uformował coś w kształcie grubaśnej kielbasy. Majstrowa łapała się za głowę, jak też jej Gustaw wciągnie ten wielgachny plecak wędrowca na wysoką do nieba Śnieżkę i z powagą zasugerowała, czy nie można by tego i owego raczej pozostawić w domu. Jako że jednak majster Gustaw już wcześniej uznał za niezbędne większość chusteczek i skarpetek, nie posłuchał żony i zdecydował się zabrać ze sobą wszystko, ażeby jemu i jego synkowi w drodze nie musiało na niczym zbywać.

A do tego doszedł jeszcze jeden sprzęt podróżniczy, który pożyczył sobie u swojego sąsiada, handlarza skórami, człowieka bywałego w świecie, który ranny w nogę w bitwie pod Gravelotte, nie mógł dołączyć do wędrowki. Ten rekwizyt był opasłą litrową flaszką, czworokątną i obszytą w twardą skórę. Wisiała ona na grubym, zielonym sznurze, który żona handlarza skórami sama utkalała niegdyś, siedząc nad nim w długie zimowe wieczory. Flaszka ta leżała schowana głęboko w warsztacie, by nie przstraszyć majstrowej i nie wywołać w ten sposób zapamiętałego rugania. Bo choć majstrowa знаła swego Gustawa jako solidnego mężczyznę, to jednak co do diabelskiej wódki każda żona rzemieślnika zawsze i we wszystkich czasach żywi silną i usprawiedliwioną nieufność. W dniu wyjazdu, o świtanu udało się majstrowi niepostrzeżenie zarzucić na ramię obitą w skórę ampulę. Była ona zresztą jeszcze całkiem pusta, gdyż odczytany majster przeznaczył ją do „wyższych celów”.

Było to ośmioro dorosłych i syn majstra Gustawa, Maksik, którzy o czwartej nad ranem zebrali się na spadzistym rynku obok

dziwaczego maleńkiego ratusza, mającego z przodu dwa, a z tyłu jedno piętro.

— On wygląda jak tamten z Frankenstein — zakpił ktoś z podróżnych z podobnego do stodoły budynku — ma jedną nogę krótszą i jedną dłuższą!

Ten kpiarz, pan Wolff nie należał właściwie do turystycznych wybrańców z towarzystwa śpiewaczego i był, jakby to powiedzieć, tylko połowicznie tutejszy: berliński nauczyciel gimnastyki, kiedyś asystent w szkółce kantoralnej, w której też znalazł sobie żonę. Ta okoliczność wyjaśnia, dlaczego corocznie spędzał i wysydział letnie ferie w tym małym górskim, śląskim miasteczku wielbiciel natury i kpiarz, któremu nikt nie mógł mieć cokolwiek za złe.

Jako bagaż podróżny atletycznie zbudowany pan Wolff nie niósł niczego więcej, jak tylko letni, szary płaszcz i jeszcze na długo przed przybyciem majstra Gustawa z pysznym rozbawieniem obserwował, z jakim osobliwym obciążeniem i wyposażeniem śpieszyli na miejsce zbiórki dobrzy bracia śpiewacy. Najpierw pojawił się chudy i wysoki garncarz Apitz z prawdziwym „Berlińczykiem”, plecakiem z lat jego młodości, gdy był czeladnikiem (zawędrował niegdyś aż za Wiedeń!), później przyszedł czarnowłosy i brodaty rymarz Brauer z przewieszaną torbą po dziadku i ogromnym parasolem, później znacznie elegantszy kupiec Timmler, którego finanse pozwalały, by corocznie „wraz z małżonką” przedsięwziąć dłuższą podróż, i który był „już nawet w Semmerring”. Z uwagi na to niósł w ręku elegancką teczkę Baedekera. Ze znacznie skromniejszą teczką na plecach przybiegł kantor Raschke, przewodnik ekspedycji, ruchliwy i jak zwykle trochę podenerwowany i nie mógł sobie odmówić, by w wielkim pośpiechu swemu wątpliwie serdecznemu przyjacielowi Timmlerowi nie udzielić jeszcze małego wykładu na temat najskuteczniejszego mocowania rzemieni w takiej teczce.

Wolff przyglądał się temu z rozbawieniem, a jego kpiarstwo czekało tylko, jak lis na czatach. Nie trwało długo, a już wywabił je z ukrycia nowy przybysz. Był to garbarz Beuschel, mały, krępy pan, którego buńczuczny, haczykowaty nos, wielka, trochę rozczochrana broda i dudniący, szorstki głos czyniły jego wygląd dziesięć razy bardziej wojowniczym, niżli on sam był w rzeczywistości. Przy szerokim pasie niósł przy boku naczynie do picia dziwaczного rodzaju: zgrabną beczuleczkę bednarskiej roboty z czarno bejcowanego drewna, a na jej przodku kokieteryjne lustro, które w porannym słońcu, wschodzącym właśnie nad dachami od wschodniej strony placu, błyszczało jak lustro dalekiego górskiego jeziora.

— Ho! — zawołał na ten widok filuternie Wolff. — Co to jest, panie Beuschel? Pana ekwipunek świeci się i połyskuje, że razi mnie i oślepia jak lampy latarni morskiej!

Wprawdzie oprócz kantora nikt w tej nieskażonej literacko grupie śpiewaczej nie znał pochodzenia tego cytatu, to jednak rozśmieszył on wszystkich, bo wszyscy byli w radosnym nastroju, a Beuschel powiedział:

— Ekwipenek? Coś pan kciał z tym ekwipenkiem, panie Wolff? Myśma przecie nie są jakieś majstry, ni. W tym feslu, to je coś, co niejednemu się przyda, jak mu smaru w kolanach zbraknie tom na wirchach.

— Tak też sobie myślałem, panie Beuschel. — roześmiał się pogodnie Wolff. — A kto sobie z tego pociągnie, to od razu może sobie góry obejrzeć w lusterku.

I wszyscy też się roześmiali. W tym to właśnie momencie wpadł na plac zdyszany majster Gustaw, trochę skołatany, krocząc zamaszystym krokiem, dźwigając ciężki, szkocki pakunek na ramieniu, a kwiczący z zadowolenia Maksik truchtał u jego boku.

— No, no, panie Berger! — zakrzyknął na widok kolosalnego pakunku Berlińczyk. — Chce pan w górach zrobić konkurencję Endenowej?

Na to znowu wszyscy huknęli śmiechem, ponieważ „Endenowa” była jedną z kamiennogórskich handlarek płótnem lnianym, u której większość mieszczańskich córek miasteczka zamawiała bieliźnianą wyprawę, kiedy wstępowały one w święty stan małżeństwa.

Majster Gustaw zaśmiał się dobrotliwie razem ze wszystkimi i poprawiał przy tym, jak to było w jego zwyczaju, kiedy czuł się lekko zażenowany, swoje złote okulary, jak gdyby nie leżały tak, jak trzeba, na jego nieco wydatnym nosie.

Odgłos stapania koni, dochodzący od strony miasta, odwrócił uwagę od niego i uwolnił kantora od nerwowego niepokoju, który kazał mu już niejedną raz spoglądać na zegarek: był to wóz z plan-deką, który miał zawieźć śpiewaków do najbliższej stacji kolejowej w górach. Maksikowi przypadło miejsce obok woźnicy, a majster Gustaw dał się chętnie zapakować daleko z tyłu, w samym brzuchu tej arki i nie czynił żadnych uwag, kiedy nagle przypadkowo usiadł do tyłu, choć było to w dwójnasób nie po jego myśli. Po pierwsze jako jedyny widok miał przed sobą zmierzwioną brodę Beuschela i to żenujące lustreczko na beczulce, odbijające właśnie wschodzące słońce impertynencko prosto w jego wrażliwe na światło oczy, a poza tym okropnie nie znosił jechania tyłem. Wystarczyłoby jedno słowo, by spowodować zamianę miejsca, ale do tego słowa nie zmusiłaby nieśmiałego majstra żadna siła na ziemi.

Wóz ciągle jeszcze stał i wyczekiwał na ostatniego uczestnika wyprawy śpiewaków, choć niepokój kantora Raschke osiągał już powoli swe apogeum. Wreszcie nadszedł ten maruder, iglarz Walde, zza rogu swego domu, najbardziej podobny Wolffowi, gdyż także

u niego za cały bagaż robił letni płaszcz. Uśmiechem skwitował nie całkiem delikatne docinki z powodu jego „spóźniałstwa” i za swe ociąganie złapał najlepsze miejsce, z doskonałym widokiem, obok Maksika.

I teraz rozpoczęła się pierwsza prawdziwa podróż majstra Gustawa Bergera!

Ten zaś siedział doznając całkowicie mu obcych wrażeń na swym niewygodnym miejscu. Pominąwszy to, że przez całą noc ledwo przymknął oko, w zdenerwowaniu podobnym żołnierzowi przed swą pierwszą bitwą; także pominąwszy to, że wszystkie te cielesne niewygody i to fatalne lustreczko spowodowały już małą migrenę w jego skroniach, które teraz zmarszczył uśmiechem, grasowało w nim uczucie nieznanego mu dotąd „oderwania się” od wszystkich znanych mu stosunków jego prawie dwudziestopięcioletniego życia majsterskiego, wszystkich poczynań i dokonań, i jeszcze nie od-turkotał ten wóz z plandeką, bez resorów, nawet ćwierć mili, a natychmiast się majstrowi wydało, jakby dzieliły go już mile i lata od jego ojczystego miasta i jego codziennych trudności. Gdyby, rozglądając się wokół, nie dostrzegł wszystkich tych znajomych zjawisk: brody Beuschela i czarnych jak węgiel włosów Brauera nad łyskającymi oczyma, długich, przeraźliwie chudych nóg Apitza i swojego Maksika blond czupryny, i gdyby nie słyszał komicznie nadętych frazesów kupca i radnego zarazem, Timmlera, nieco odważnych dowcipów kantora i pikantnych Berlińczyka, a między nimi aplaudującego suchego śmiechu Waldego i trzeszczącego Brauera, dopełnionym jego własnym, skromnie zduszonym, bardziej wewnętrzny chichotem, to on sam wydałby się sobie jak obcy i wykorzeniony człowiek.

A przy tym okolica wydawała mu się najpierw przecież bardzo znajoma, bowiem tak daleko rozciągały się jego wyjścia zawodowe

i w prawie każdym z nowo zbudowanych gospodarstw, obok których przejeżdżało się, mijając tasiemcowate wsie, machał już był swym młotkiem i osadzał drzwi i okna jako rozrywany, rzetelny rzemieślnik.

Godzina, półtovej przeszły tak pośród pracowitego truchtu obydwu silnych rumaków zaprzęgniętych przed wozem i teraz także granica orientacji majstra Gustawa w terenie po tej stronie została przekroczona. Dlatego chętnie zobaczyłby więcej z tej okolicy, ale szerokie plecy siedzących bardziej z przodu zostawiały tylko wąską szczelinę, nawet kiedy on z największym trudem odwracał głowę do przodu.

Na wozie jednakże rozpoczęła się teraz wymiana zdań między obydwoma nauczycielami i Waldem, dobrze znającymi góry, na temat najdogodniejszej trasy podróżowania w tak krótko zaplanowanym czasie. Lepiej wyuczone zainteresowanie ludźmi zyskało wkrótce u majstra Gustawa przewagę nad zainteresowaniem widokami i tak siedział on, tak samo jak przedtem, trochę rozkojarzony, z uśmiechniętą miną i podażał mrugając i cicho chichocząc, za tym turniejem retorycznej swady, który przechera Wolff po mistrzowsku profilował swymi szelmowskimi docinkami.

Kiedy potem po około trzygodzinnej jeździe wóz zatrzymał się przed stacją kolei górskiej, całkowicie zmieniony krajobraz znalazł w majstrze Gustawie nieprzygotowanego i dlatego dość stronniczego obserwatora. Kosztowało to trochę wysiłku, by znaleźć dla wszystkich jedno wspólne miejsce w wagonie, a związane z wejściem do pociągu zdenerwowanie mąciło spokój majstra Gustawa jeszcze długo, tak że zwrócił uwagę na wyjaśnienia o okolicy dostarczane przez wszystko wiedzących Wolffa, Raschkego i Waldego, dopiero kiedy pociąg zbliżył się już do skały widokowej w „Górach Sokolich”. Coraz to chwycił się majster Gustaw za portmonetkę w prawej kieszeni

spodni, za obitą skórą flaszkę przy boku; co chwila rzucał krótkie spojrzenie na szkocki pakunek leżący na siatce półki wagonowej i na blondasa Maksika obok siebie, któremu najchętniej związałby ręce na plecach, ażeby ten nie stracił palców między drzwiami do przedziału, o którym to nieszczęściu majster Gustaw już niejednokrotnie czytywał, jak też na długo przed tym, zanim odważył się wykonać ten swój pierwszy lot w dal, miał w głowie prawdziwie wzorcową kolekcję wyczytanych gdzieś zaleceń niezbędnych w podróży.

A więc, to były teraz te tak wychwalane „Góry Sokole”, które można dojrzeć z wszystkich miejsc w górach, wysoko z grzbietu i z dołu, z doliny! I to tam były zagubione gdzieś w gęstym lesie ruiny zamku Bolczów. Szkoda, że swymi oczami krótkowidza nie mógł ich w ogóle wypatrzeć! A tam, ta pusta krawędź góry, to był ten słynny „różany ogród”, o którym kantor opowiadał, że w stojącym nieopodal gościńcu „Pod Figą” jest tablica mówiąca, iż sam Aleksander von Humboldt zaliczał różany ogród do siedmiu najpiękniejszych punktów widokowych świata.

— O ile to prawda! — powątpiewał Wolff. — Założę się, że ten staruszek Humboldt, który siedzi przed berlińskim uniwersytetem tak podejrzanie nisko, nigdy tak wysoko nie laził!

Ta uwaga zdenerwowała kantora zdecydowanie i spór o prawdziwość tego zdania trwał jeszcze w najlepsze, gdy pociąg wjeżdżał już do tunelu w Trzcińsku. Dopiero ciemność tunelu pohamowała zapalczywość i podróżni oddali się z należnym nabożeństwem obserwacji żółtej fabryki papieru Eichdorfa, „w której papier jest przerabiany na banknoty tysiącmarkowe” (wyjaśnił zapalony cicerone). A teraz była Jelenia Góra i ekscytujące wysiadanie i ekscytujący dworcowy zgiełk. Majster Gustaw musiał przy tym ciągle kurczowo

coś trzymać, z jednej strony swój pakunek, a drugą ręką wścibskiego Maksika, żeby ani jeden, ani drugi nie przepadł w tym okropnym rozgardiaszu, i dziękował Bogu w cichości serca, że przed nim pobłyskiwał wskazując drogę szary płaszcz Wolffa.

Jego serce doznało wytchnienia dopiero wtedy, gdy razem z Wolffem, Waldem i Beuschelem oraz z Maksikiem przed sobą na koźle, siedział w jednej z dorożek, które kantor naprędcie „zarekwirował”. I to wytchnienie stało się dla niego wybornie przyjemnym uczuciem, kiedy dorożka jadąc po dobrej drodze zmierzała w kierunku gór – kolei żelaznej bowiem wtedy jeszcze w kotlinie myślakowickiej nie zbudowano.

Ciągle jeszcze był wczesny poranek. Na żdźbłach trawy i na liściach połyskiwała warstwa rosy; skowronki śpiewały, a z granatowego, ogromnego muru gór spoglądały obco ostatnie resztki zimowego śniegu na radosną zieleń letniej doliny.

Wtedy to mrugającemu majstrowi zrobiło się czerwono przed oczami; musiał je na kilka sekund zamknąć. I kiedy Wolff mu dokuczał, że prześpi najlepsze wspaniałości podróży, uśmiechnął się do niego z wyrazem tak rozkosznej nieobecności, z jaką dziecko śmieje się pod świąteczną choinką, że prześmiewca do samego końca podróży oszczędził mu swego ostrego języka.

W Myślakowicach u „Sieka”, w „Domu szwajcarskim” nasza kompania śpiewacza zatrzymała się na śniadanie. Około trzydziestu letników tam siedziało, po części na porośniętej winem werandzie, po części pod dającymi cień drzewami i w obliczu otoczonych poranną mgielką gór siorbali swe napoje podane do śniadania. Ich ciekawskie, ale pełne respektu wodzenie wzrokiem za kompanią śpiewaczą dało kantorowi asumpt, by dać tu próbę umiejętności i w ten oto sposób ośmiu bohaterских śpiewaków ustawiło się

w podwójnym kwartecie. Kantor wybrał z wyczuciem utwór Abta „Rankiem, kiedy pieje kur!” i majster Gustaw zaśpiewał z pełnym oddaniem i słodyczą swe solo tenorem o dobrym panu Bogu, co idzie cicho przez las.

Jednakże Wolff, zanim jeszcze zaczęły się śpiewy, wycofał się ukradkiem z kręgu śpiewaczego i zniknął między wysokimi drzewami sąsiedniego parku pałacowego. Maksik, którego poczucie przynależności do tej śpiewaczej czeredy napępniało pewnego rodzaju wzniosłą radością, chodził ostrożnie, na palcach za nimi w te i we w te i dotarł w końcu na sam koniec werandy. Tutaj ponad balustradą werandy wychylał się w stronę śpiewaków pewien wysoki, chudy pan z lekko posiwiałym wąsem na dobrotliwej twarzy i obserwował ich zastanawiająco ostro i dogłębnie. Z szelmowskim mrugnięciem przywołał gestem do siebie chłopaka i kiedy Maksik, będąc pod wpływem tych badawczych oczu, podszedł do niego, ten wypytał go, skąd, dokąd, jak i co z grupą śpiewacza, szczególnie zaś zdawał się go interesować dzielny solista tenor i z wyraźną radością słuchał wszystkiego, co mu niczego niepodejrzewający chłopak wypaplał.

Tę małą scenkę obserwował Wolff ze swej kryjówki w parku, a że ten obcy wydał mu się dziwnie znajomy, podkradł się on cichcem do domu i wypytał kelnera, kim jest ten ciekawski jegomość. To, czego się dowiedział, widocznie mocno go podekscytowało, gdyż ze wszystkimi oznakami niezwyčajnego zdenerwowania nalegał na kantora, by nie ryzykował już żadnej dalszej pieśni, tylko tak szybko, jak to możliwe, kontynuował podróż.

Kiedy już szczęśliwie zaprowadził wszystkich do wozu i znaleźli się poza zasięgiem wzroku letników, uroczyście nabrał powietrza i rzekł:

— Przysięgnijcie mi, dzielni towarzysze podróży, że nie będziecie chcieli po drodze już więcej śpiewać. Przysięgnijcie! Ponieważ tu w tych słynnych na cały świat górach można napotkać sprawy perfidnej natury, czy wiecie, komu urządziliście właśnie serenadę? Theodorowi Fontane, o którym nie chcę wam nic więcej w tej chwili zdradzić jak to, że może on w całej dobroci i miłości ośmieszyć człowieka swym ostrym piórem po wsze czasy i obnażyć go do samej kości. Mówię wam, jeśli on nas jutro weźmie na warsztat w swym żadnym łupu liście z podróży w „Ciotce Voß” (Vossische Zeitung, przyp. tłum.), to mogę znowu być pomocnikiem u ciebie, kantorze, jak u mojego świętej pamięci teścia; ponieważ w Berlinie nie będę mógł się już pokazać, tak się będą ze mnie śmiać we wszystkich knajpach, w których mam stały stolik.

— Dobrze ci tak! — powiedział sucho kantor i wszyscy śpiewacy przyznali mu rację. Ale majster Gustaw chichotał tylko bezgłośnie, ciesząc się, że jego Maksik pogaworzył sobie ze słynnym żurnalistą, którego nazwisko czytanyemu majstrowi było dobrze znane. Czego to nie można było przeżyć, jak raz wyszło się między ludzi!

W tej podróży nasi śpiewacy już jednak nie śpiewali!

Karpacz, który wtedy nie był jeszcze połączony szynami kolejowymi z wielkim światem, przypominał dlatego swą architekturą o starych czasach, w których nazywał się „Krzywa Góra”, a „Śnieżka” starego Exnera była wtedy jeszcze skromną wiejską gospodą, do której także ludzie pokroju majstra Gustawa mogli bez nerwowego bicia serca wejść i spożyć kanapkę z serem popitą mlekiem.

Ta kanapka popijana mlekiem była pierwszą z wielu podobnych do siebie uciech cielesnych tej podróży, ponieważ majster Gustaw prosił dla siebie i dla swego syna w każdym z tych miejsc popasu o kanapkę z serem i mleko. Działo się tak w równej mierze z dwóch

powodów, z oszczędności i zażenowania, ponieważ nigdy nie był dostatecznie szybki, by zamówić jakąś inną potrawę, gdy usłudźni kelnerzy pytali, co też sobie życzy.

Zbliżało się południe, kiedy śpiewacy wyruszyli spod zajazdu Exnera i już przy następnym domu kazał cicerone zatrzymać konie, by coś opowiedzieć.

— Spójrzcie panowie — powiedział, wskazując na mały, czysty, górski domek, blisko ulicy — tu mieszka ostatni „Laborant”, ostatni z tych zbieraczy ziół fabrykujących również sznaps, których było tu niegdyś wielu, gdy Karpacz był jeszcze nędzną górską osadą; sprzedawali oni swe kropelki w całej prowincji i docierali z nimi nawet do Berlina. Jeśli panowie chcecie...

Nie dokończył zdania, ponieważ zdarzyło się coś, czego w tym kręgu nigdy by się nie spodziewano: majster Gustaw przejął inicjatywę. Odkorkowując swą obciagniętą skórą litrową flaszkę, poszedł krokiem zwycięzcy, trzymając ją przed sobą jak na paradzie, w kierunku niskiej furtki i przez nią w progi domku, gdyż do tego celu zachował przecież swą wielką ampulę, ponieważ wiedział już od dawna z lektury „Gońca” o sławie ojca Zölfela, „ostatniego laboranta z Karkonoszy”.

W mrocznym „laboratorium” zielarza śpiewacy nie zastali jego samego, ku bolesnemu rozczarowaniu kantora — który chętnie by go wypytał o tajemnice jego gorzkiej sztuki — jednakże nabyli u sprzedawczyni, która roztaczała atmosferę tajemnych receptur, przeróżnego rodzaju wąskie, kanciaste buteleczki „na prezenciki” dla żon i znajomych, pełne wszelkiego rodzaju niezawodnych środków przeciw wszelakim bólom żołądka, płuc i wszystkiego, co we wnętrzu człowieka może się zepsuć. Ale kazali sobie też nalać do przyniesionych butelek duże ilości ciemno — brązowej mikstury

czyli „likierku podróznego”, a Wolff ochrzcił ten napitek naprędcę jako „atrament laboranta”. Ta trafna etykieta zachowała się przez czas tej osobliwej podróży i krąży dzisiaj w tej samej wersji przy stołach kawiarnianych w miasteczku. „Przez stok!” zabrzmiało hasło mające oszczędzić czasu.

Gdyby majster Gustaw wiedział, co to dla niego, niosącego szkocki tłumok, oznacza, nie uśmiechałby się z takim zadowoleniem, kiedy ponad hotelem „Złoty spokój” otworzył się przed nim cienisty, świerkowy las zionący chłodem.

Wkrótce okazało się, jak mało cień i chłód pomagają przy takim ostrym podejściu.

Z twarzy majstra Gustawa zniknęło ciche zadowolenie, a pojawił się cichy wyraz cierpienia i w cieplarnianym gorącu wspinaczki zakwitł między jego skrońmi bolesny kwiat migreny w swej najpiękniejszej odmianie. I dlatego kiedy wysoki las powoli ustąpił miejsca kosodrzewinie, odsłaniając wspaniałe widoki w dali, nie mogły wydobyć z niego prawdziwego zadowolenia ani nieznane formy świata roślin, ani bogata, pełna form i kolorów panorama wąwozu Karpacza i jasnej doliny myślakowickiej.

Przy ledwo sączącym się, chłodnym źródle czereda nieźle już utrudzonych śpiewaków urządziła sobie odpoczynek i jedząc podwieczorek słuchała opowieści o leśniczym Freju. Niedaleko tego miejsca, opowiadał dobrze we wszystkim zorientowany kantor, został on ponoć postrzelony przez kłusownika i zapisał potem, leżąc tam godzinami, własną krwią na swej chusteczce do nosa ostatnie myśli i życzenia. Wszyscy jednogłośnie wyrazili żal, że nie ma czasu, by pójść odnaleźć to miejsce, w którym leżał umierający leśniczy.

W głowie majstra Gustawa wierciła się jednakże oprócz migreny jego zawsze niespokojna fantazja, która aż do bólu wyraźnie

wymalowywała mu, z jaką gorączkową tęsknotą ten właśnie człowiek, oddający ducha patrzył był zapewne na błyszczące arterie strumieni tam na dole w dolinie i na łagodnie wznoszący się dym z komina jego milej sercu leśniczówki, tam niżej na Wilczej Porębie, w ciemniejszej głębi.

Tak, by nikt nie widział, ten marzyciel podstawił od czasu do czasu dłoń pod cieniutki strumień zimnej jak lód wody, który płynął z drewnianej rynny, i zwilżał nią swe obolałe czoło. I gdy jego Maksik zapytał go z troską, czy boli go głowa, mrugnął i uśmiechnął się do chłopca, by tylko nic nie zdradzić ze swego utrapienia. Jakżeby mógł swoim stanem rzucić choćby cień cienia na zadowolenie innych!

Bez porównania ciężkie poty, o które go przyprawił jego szkocki tłumok przy ostatnim wchodzeniu na górski grzbiet, spływając zabrały część bólu i tak mógł majster mimo wszystko dać się opanować wrażeń, jakie robiło prawdziwe górskie schronisko „Riesenbaude”, do którego zaszedł wraz ze swymi towarzyszami.

Tak naprawdę oglądanie i podziwianie przeważało nad cielesnym cierpieniem dopiero przy wchodzeniu zygzakowatym szlakiem na Śnieżkę.

Słońce zachodziło za kanciastą granią Koziego Grzbietu i wyświetlało swoje wieczorne fajerwerki nad łagodną linią czeskiego grzbietu i zatapiało leżącą w dole krainę z jej wieżami, pagórkami, polami i lasami w pieszczotliwej fali światła ciepłego, letniego wieczoru. Ale głębokie, wąskie wąwozy schodzące wokół Śnieżki, z których niestrudzony kantor potrafił nazwać każdy, opatulają się już wieczornym mrokiem na budujący odpoczynek. Jak mógł obserwator, którego po raz pierwszy coś takiego otacza swym czarem, oglądając, ogarniając, zapanować nad tymi wszystkimi

wrażeniami?! A cóż dopiero on, który wytaszczył na plecach po zboczu Śnieżki pół cetnara w swym tłumoku i nie spał poprzedniej nocy, za to jest od czwartej nad ranem na nogach, któremu migrena chce rozerwać głowę i który pierwszy raz w życiu ogląda, będąc poza swymi rodzinnymi stronami, wieczór spływający na te dale, których wielkości, nieograniczoności i bogactwa nie widział nawet we śnie!

I teraz, pozbywszy się ciężarów, siedzieli dzielni śpiewacy w wygodnych, domowych pantoflach na poranionych stopach, w pruskim schronisku na Śnieżce, wszyscy wokół tego samego stołu i wkrótce odczuli ulgę, którą dawała przypominająca domową, atmosfera tego gościnnego pomieszczenia. O niełatwe znalezienie w nastroju schroniska jego skromnej elegancji, której potrzebowali nasi obywatele małego miasteczka, zadbali „obojętny” Berlińczyk Wolff, kupiec, radca i urlopowicz w Semmering, Timmler i kantor Raschke, który już chyba z pół tuzina razy wyczekiwał tu tęsknie wschodów słońca.

Czescy muzykanci grali z ogniem marsza Radeckiego; dziewczyna z harfą śpiewała sentymentalne pieśni; kelnerzy przemykali bezgłośnie tam i z powrotem. Wszyscy przeciągali się z zadowoleniem po wędrowce, siedząc za biało nakrytymi stołami i radośnie przypijali jeden do drugiego na szczęśliwą drogę, a majster Gustaw spoglądał jak zawsze mrugając, przez niebieskawe szkła swych złotych okularów na obcy, pełen kolorów obraz tego zgiełku wokół siebie i w cichym roztargnieniu kiwał głową do taktu melodyjnych kawałków tanecznych, granych przez muzykantów.

Pomimo to ciągnęło Gustawa po kolacji – której cena przyprowadziła go o lekką gęsią skórkę – by jeszcze raz wyjść na dwór. Trzymając strachliwie swego Maksika za rękę, stał przy płocie, który ogradza plac na Śnieżce od strony Czarnej Kopy, i patrzył

– początkowo z lękiem – w dół, na okryty nocą kraj. Pławiąc się w srebrnym, rozświetlonym mroku jasnej lipcowej nocy, daleka dolina leżała głęboko w dole wraz ze swymi chmurami wzgórz i rzędami domów, pokropkowana i ożywiona gdzieniegdzie drgającymi światełkami miejscowości. Dalej z tyłu jednakże wszystko rozplywało się w dalekiej, bezkształtnej szarości, a długi, potężny grzbiet gór z prawej strony, obejmujący delikatnym zakolem łęgi dolin, leżał jak gigantyczna pantera, która wyciągnęła do snu swe ciemne łapy.

Krótko: nie było to tchnienie arkadyjskiego spokoju, idące z nocnych dolin i muskające twarz majstra, lecz nieznaną, zatrważającą potęgą samotnego, górskiego świata.

Czuł zimno mimo łagodnego, nocnego powietrza, poszedł więc cicho wraz ze swym milczącym chłopakiem z powrotem do schroniska, gdzie jego towarzysze podróży szykowali się już na noc w pomieszczeniu z materacami.

Kto choć raz spędził noc na materacu w schronisku, wie, że za niską cenę noclegu dostaje się czasem bezpłatną i nieoczekiwaną uciechę, na którą składają się przeróżne planowane i nieplanowane, wyszukanej i pośledniejszej natury żarty, które stroi sobie towarzystwo, zebrane tu dziełem przypadku, niekoniecznie ku wsparciu nocnej ciszy. A tej potrzebowało przecież tak wielu, którzy teraz jak martwi padli na materace.

Również majster Gustaw do nich się zaliczał, gdyż chochlik migreny znowu się u niego zagnieździł i to ze zdwojoną siłą; położył się więc na stronie, która go najbardziej bolała w cichej rezygnacji, że oto znowu czeka go jeszcze jedna nieprzespana noc, tym razem na dodatek z bólem.

W tych okolicznościach narzędzia do czyszczenia butów i inne, znajdujące się w jego szkockim tłumoku, nie znalazły żadnego

zastosowania. Majster Gustaw nie wiedziałby nawet, gdzie ma znaleźć kawałek miejsca, w którym dałoby się nimi w odpowiedni sposób manipulować.

Pomiędzy heroicznie tłumionymi westchnieniami kwitował cichym chichotem, co było w jego przypadku rodzajem śmiechu, kawały swych towarzyszy podróży z prawej i lewej strony, wśród których wiódł prym przyjaciel Wolff, i kiedy nareszcie grubo po północy wszyscy wokół spali i chrapali, on przewracał się z boku na bok, walcząc ze swą migreną, ciesząc się, że jego syn obok niego oddychał głęboko i spokojnie. Tylko dwie krótkie godziny udało mu się przespać w niespokojnym półśnie, kiedy posługacz krowim dzwonkiem obudził wszystkich o wschodzie słońca. Jednakże ten krótki odpoczynek wystarczył, by wyzwolić się od tego chochlika bólu i dlatego tryskający kolorami spektakl, którym mógł się teraz delektować razem z innymi na zewnątrz w lodowatym powietrzu poranka, zadziałał na jego delikatne wnętrze z potęgą nigdy wcześniej nie przeżywanego objawienia: mistrz ślusarski, Gustaw Berger, radny miejski i oświecony, postępowy wyborca, najchętniej płakałby jak bóbr w obliczu tej cudownej feerii kolorów i form, przedstawianej właśnie przez naturę.

Gdyby mu jednak ktoś teraz przypomniał, że wczoraj o tej samej porze żona wypychała go z jego szkoekim tobołem przez drzwi domu, aby się nie spóźnił, pokiwałby z niedowierzaniem głową: musiały minąć lata; tyle wrażeń mizerne dwadzieścia cztery godziny nie mogły przecież pomieścić. A poza tym: chyba nie był już wcale tym samym człowiekiem, który wtedy przeciskał się z tobołem przez drzwi! Trzeba było tylko jednego szybkiego spojrzenia na jego blond Maksika, na czarnowłosego Brauera, na rozczochranego Beuschela z jego beczułką z lusterkiem i na wszystkich innych kolegów szkolnych i z towarzystwa śpiewaczego, tak dziwacznie okutanych

z powodu porannego chłodu, którzy tak samo jak on marzli i podziwiając stali wkoło, żeby majster Gustaw poczuł, iż znów jest samym sobą. I jak cudownie smakowała teraz przy śniadaniu parująca, mocna kawa! Aż można było przy tym zapomnieć, że filiżanka kosztowała pięć koron! Co powiedziała by na to matka?!

A potem rozpoczęła się wędrówka wzdłuż grzbietu! Niejeden już łamał sobie głowę, w czym leży ten jej szczególny urok. Można go chyba szukać w uczuciu wolności, które wzmaga kroczenie po szerokiej, dającej daleki widok, płaszczyźnie, wysoko ponad dolinami, lasami i ludźmi. Gdzież jeszcze jest druga taka możliwość wędrowania godzinami, przy której niczym władca, mocą w bezkresne dale sięgającego spojrzenia, widzi się, jak u stóp leży cały świat?! Tak właśnie wyzwalająco od całego znoju codzienności i drobnomieszczańskości, od wszystkich plotek sąsiadów i złośliwości klienteli, od kłopotów z czeladnikami i uczniami i od tego całego musu czterdziestu pięciu lat jego życia w ciasnocie własnego kącika, działało wędrowanie po górskim grzbiecie także na dobrego majstra Gustawa, a jego fantazja, zwykle skrepowana duchem najbliższych drobnostek, zerwała nagle na kilka godzin wszystkie powrozy i sznury, by rozpostrzec w czystym górskim powietrzu swe białe, wielkie skrzydła do radosnego lotu na ciche, dalekie, błękitne niwy tam w dole, i daleko, daleko za ich horyzont...

Dreptał jak zwykle za swymi kolegami śpiewakami, trochę roztargniony, krocząc ochoczo, mrugając i uśmiechając się radośnie jak zwykle, ale w jego oczach, w jego oczach było nagromadzone szczęście lat posuchy i syciło się ono w pełni złotym przepychem świata w patrzeniu i rozkoszowaniu się, w rozkoszowaniu i patrzeniu...

I w każdym schronisku, do którego śpiewacy wchodziłi — a wchodziłi do każdego napotkanego po drodze — majster Gustaw i jego Maksik jedli kanapkę z serem popijaną mlekiem!

Pogoda była wspaniała. Niebo śmiało się; Wolffa ogarnął iście szampański nastrój; kantor był niezwykle zadowolony, że program wycieczki realizowali terminowo, a śpiewacy śmiali się z weselem z czegokolwiek, podziwiali i dziwili się wielu rzeczom, obok których w swych okolicznych górach przechodzili bezwiednie; pili atrament laborantów, pozdrawiali napotykanych ludzi z drobnomieszczańską poufalością, która tu na górze przekształcała się nieprzymuszenie w pewną, zrozumiałą samo przez się i stylową nonszalancję, a wszyscy czuli się jak mali panowie wielkiego, dalekiego świata.

Do podwieczorku zasiedli wszyscy w schronisku „Nad Śnieżnymi Kotłami”, które wtedy skrywało się jeszcze skromnie za „Tronem Liczyrzepy”. Po kawie wędrowka miała być kontynuowana; najpierw jednak spacerowało się nieco na grani między kotłami w dół. Majstrowi Gustawowi kręciło się w głowie, gdy spoglądał w ziejące przepaście z prawej i lewej strony i oględnie powstrzymywał Maksika przed przemądrzałym parciem naprzód. Jedną ze żwirowych rynien „Małego Stawu” pięło się w górę kilku turystów ryzykantów, których niewielka łacha śniegu na dnie zwabiła, by urządzić uragającą sezonowi bitwę na śnieżki.

Kantor, w zgodzie ze swym urzędem przewodnika, czytał na głos z różowego Letznera o Śnieżnych Kotłach i doszedł przy tym do miejsca, w którym była mowa, jednakże w ostrzegawczym tonie, o krótszym szlaku do Jagniątkowa, prowadzącym przez „Wielki Kocioł”.

Ale kiedy patrzyło się w pełnym słońcu w dół z wesołej, dającej poczucie panowania wysokości, leżący poniżej, pokryty nęcącą zielenią krajobraz kotłów tracił całą swą grozę. Przewodnicy dyskutowali zawzięcie, jaką oszczędność czasu mogłoby to przynieść, jeśli się poszło tym skrótem w dół. Rzecz nie mogła być niebezpieczna; dostateczne potwierdzenie stanowił przykład tamtych,

którzy wspinali się do góry. Wszystko wyglądało tak niewinnie i wydawało się tak bliskie, a że tam w dole było kamienne uroczysko, które zostało w niepamiętnych czasach spiętrzone przez lodowiec, o tym w naszej grupie śpiewaczej nikt nie miał zielonego pojęcia.

Później nikt nie mógł już sobie przypomnieć, i jeszcze dzisiaj jest to obiektem kłótni przy wszystkich stolikach dla stałych bywalców, kto właściwie zaczął schodzenie w kocioł i w ten sposób przywiódł innych do lekkomyślnej zabawy, która nie wiadomo, czy była wyrazem genialności, czy też czystego wariactwa. Bóg wie, jak to się stało, że już po kilku minutach nikt nie miał wątpliwości, czy można schodzić w dół, a jedynie któreśdy musi się schodzić. Bowiem zdania były podzielone, który z kotłów jest „Dużym”, a Wolff robił wszystko, co mógł, by z pomocą swoich żartów czynić ocenę sytuacji coraz bardziej niepewną. Pogodny wygląd i przyjazne polyskiwanie zwabiło w końcu śpiewaków, by ocenić kocioł z bardziej płaskimi krawędziami w porównaniu ze złowieszco opadającymi w dół ścianami drugiego, jako większy, i jeszcze zanim ta ocena mogła być sprawdzona, zaczęli schodzić pierwsi w dół, w miejscu, które wydawało się nieco podobne do ścieżki. I owczy pęd ogarnął ich wszystkich, choć jednemu czy drugiemu kręciło się w głowie, kiedy już wkrótce musieli schodzić stromą ścianą porośniętą krzakami.

Na samym końcu człapał nieporadnie w dół krótkowzroczny majster Gustaw lub raczej — dokładniej mówiąc — był ciągnięty w dół przez swój toból i gdyby nie jego anioły stróże, zawrót głowy wciągnąłby go w przepaść, lub, potknąwszy się o wystające korzenie kosodrzewiny, spadłby niechybnie w dół. W ten sposób dotarł na dno kotła, sam nie wiedząc jak, i w końcu jedno uczucie z wszystkich tych, co szaleńczo w nim się kłębiły, stało się najsilniejsze: niebywałe zadziwienie ogromnym majestatem tego górskiego kotła, który stawał się tym bardziej gigantyczny, im bardziej ktoś zbliżał się do jego

podnóża. Już dawno przestali szukać jakiejś ścieżki: byli otoczeni labiryntem skalnych bloków, których tam z góry, ze skalnego urwiska, wyglądającego stąd jak śmieszna ambona wisząca wysoko w błękitcie, nie dało się dojrzeć.

Na jednym z takich bloków wielkości dużego kaflowego pieca siedział majster Gustaw i próbując złapać oddech, rozglądał się w tym wielkim cyrku skalnego kotła i mrugając spoglądał w górę w kierunku jego krawędzi, nad którymi rozpościerał się tak głęboki błękit nieba, jakiego majster Gustaw w swym życiu nigdy jeszcze nie widział. I w tym momencie poczuł całkowite zagubienie.

Czy był rzeczywiście jeszcze samym sobą, kiedy tak siedział tu na dole na dnie śnieżnego kotła, między czarno — zielonymi krzakami kosodrzewiny, obrastającej wkoło skalny blok, tak jak kędzierzawa broda obrasta kanciastą szczękę mężczyzny?

A kiedy znajdzie w końcu wyjście z tego kamiennego labiryntu (w co na razie bardzo powątpiewał), czy jego życie będzie biegło dalej tak samo, jak biegło monotonnym truchtem wcześniej, przez czterdzieści pięć lat? Albo może teraz został z niego wyciągnięty i ustawiony na innej, bogatszej, pełnej przygód drodze, jaką znał z gazetowych opowieści o życiu niektórych mężczyzn? A jego żona, jego dzieci, jego dom? Co z nimi będzie? A jego klienta? Czy wszystko to odejdzie razem z nim, gdzieś hen na wyżyny?!

Wystraszywszy się samego siebie i duchów, które tu w tym osobliwym świecie skalnego kotła przyłgnęły do niego, majster Gustaw uśmiechał się, mrugając z zażenowaniem i rozglądał się z przestachem dookoła, czy przypadkiem któryś z towarzyszy jego dotychczasowego życia, a teraz towarzyszy niedoli, nie odgadł był jego pogmatwanych myśli, i zauważył przy tym z trwożnym zaskoczeniem, jak bardzo rozproszona grupka śpiewaków już zdążyła się od niego oddalić, idąc w kierunku ogromnego skalnego zwałowiska, które

od strony doliny zamykało kocioł, a na jej czele podążał jego zuchwały Maksik. Jak dumny jeździec siadał on najpierw na kanciastych blokach, a potem forsował je ześlizgując się po nich zręcznie w dół.

W tym momencie majster Gustaw zepchnął swe drugie Ja, które jako fantazyjny, śmiały bohater prowadziło skrytą egzystencję w najcichszych i najgłębszych zakamarkach jego bojaźliwej duszy, z powrotem w jego dotychczasową kryjówkę i rozpoczął znowu, co wydawało się być tak typowe dla jego całego życia, mozolną wspinaczkę w ślad za innymi przez skalne zwałowisko, które przed niezliczonymi latami przypchał tu przed sobą lodowiec. Szkocki tobół stał się teraz prawdziwie gorzkim ciężarem i także znacznym zagrożeniem dla naszego majstra. To zaplątywał się złośliwie w gałęziach kosówki i hamował przez to rozpęd, który w niezwykłym i nigdy dotąd niećwiczonym skoku miał go przenieść nad szeroką szczeliną między dwoma skalnymi blokami, pod którymi ukryty radośnie szemrał malutki strumyczek, to znowu wybijał go z równowagi przez swe chybotanie na plecach w najbardziej nieodpowiednim momencie, kiedy on – majster Gustaw Berger! – balansował właśnie z gracją linoskoczka, idąc po długim grzbiecie szczególnie wielkiego głazu. Wreszcie, ociekając potem, dołączył do innych i u stóp owego zamykającego kocioł skalnego zwałowiska zebrali się wszyscy śpiewacy.

Co jednak zostało w międzyczasie z tej wesołej kompanii?

Bez oddechu i siły przykucnęli dzielni śpiewacy wkoło na granitowych blokach, jakby zwabieni tam przez złego ducha pustyni. Wolff wysiłał się wprawdzie, by opowiedzieć kilka cienkich kawałów i próbował nawet wyśmiewać samego siebie, mówiąc, że teraz musi przez całą resztę tej wspaniałej podróży mimo tropikalnego gorąca pocić się w swym popielatym płaszczu, gdyż niestety tylne partie jego spodni doznały w czasie ześlizgiwania się z góry rozwartych cięć,

tak że bez ochronnej osłony płaszcza nie mógł ważyć się wyjść z tej leśnej dziczy.

Ale także to błaznowanie, jakże dychawiczne, wzbudziło tylko tęskne westchnienia u pozostałych zbląkanych. Radca handlowy i radny i wczasowicz z Semmering, Timmler leżał całkowicie bez sił na szerokiej granitowej płycie ze swoim eleganckim plecaczkiem pod głową i w płacźliwie patetycznym tonie powiedział, że nie będzie się już męczył, by przebyć tę dzicz, lecz zrobi teraz testament, jego krew jednakowoż spadnie na kantora i jego dzieci, ponieważ to on zwabił ich wszystkich do tego Hadesu na pożarcie przez kruki. Hola! Podskoczył kantor, cicerone i dyrygent godnej pożałowania śpiewaczej kompanii! Nigdy jeszcze żaden zarzut nie został odparty z takim oburzeniem jak ten i jątrzący się wrzód już od dawna trwającej wrogości między tymi dwoma tak zwanymi przyjaciółmi eksplodował teraz z impetem w zażartej męskiej kłótni, która z uwagi na leżące wokoło poręczne skalne bloki być może przybrałaby wysoce tragiczny obrót, gdyby bojownicy nie byli tylko epigonicznymi członkami towarzystwa śpiewaczego, lecz owymi cyklopami i tytanami z zamierzchłej przeszłości, których tak łatwo rozpalający się gniew buzował teraz w piersiach śnieżno — kotłowych bojowników. Na szczęście znalazła się również i dla tego wzburzonego morza łagodząca oliwa: majster Beuchel poczęstował druhow z swojej beczułki z lusterkiem i skwitował wszystko uspokajająco szorstkim dowcipem, a kiedy wiarusy po kwadransie odpoczynku powściągnęli swą wzburzoną krew, wtedy także i gniew zaczął mijać, a i wczasowicz z Semmering nabrał znowu chęci do życia i do wspinaczki. Oczywiście majster Gustaw grał w tej kłótni rolę pasywnego, uśmiechającego się z lekkim zakłopotaniem widza. Bardziej niż jakiegokolwiek uczucie tłukło się w nim zadziwienie, że był prze-

znaczony do takich oto przeżyć i patrzył jednocześnie z przestrachem i z ciekawością na łagodnie wznoszący się, całkiem okazały skalny wał, który piętrzył się między gromadą śpiewaków i upragnionym jagniątkowskim zboczem, jak gdyby to oplecione zielenią skalne rumowisko skrywało straszliwe tajemnice.

Słońce chyliło się już ku krawędzi kotła, tak więc nie było rozsądnie dłużej jeszcze odpoczywać. Każdy wziął jeszcze po porządnym łyku na wzmocnienie odwagi i serca po czym poszli trasą, która została jednogłośnie ustalona w krótkiej naradzie wojennej między Wolffem, Waldem i kantorem: najpierw możliwie ostro w prawo przez tę niewysoką górę, a potem ciągle prosto w kierunku doliny, w nadziei, że w ten sposób dojdzie się na pewno do jakichś dróg prowadzących do Jagniątkowa.

A najważniejsze to nie rozchodzić się!

Naturalnie łatwiej to było powiedzieć, niż zrobić. Nie minął jeszcze kwadrans, odkąd mozolna wspinaczka odbywała się już zamiast w kosodrzewinie, w wysokim lesie, gdy majster Gustaw z jeżącym włosy na głowie przerażeniem zauważył, iż zgubił towarzyszy. Szczerze mówiąc, nie musiałoby to wzbudzić w nim tak wielkiego przerażenia, gdyż dzień był pogodny, wieczór jeszcze daleko, a majster Gustaw nie miał większego pojęcia o wielkości lasów, które rozciągały się wokół niego i pokrywały flanki górskiego grzbietu.

Ale jego Maksik!

Ta myśl spowodowała, iż krew uderzyła mu do głowy, a z oczu pociekły łzy. A jeśli chłopak teraz zauważył, że ojca nie ma? Jakież strach musiał go ogarnąć! A jeśli spróbował szukać ojca i teraz sam zablądził?

Chłopak sam w nieprzebytym, bezludnym lesie!

W nieopisanej trwodze biegł majster Gustaw i krzyczał aż do ochrypnięcia za swoim Maksikiem i towarzyszami śpiewu, ale tam słyhać było w odpowiedzi tylko echo jego własnego głosu.

Jakieś mroczne uczucie sprawiało, że gnał w kierunku przeciwnym do zachodzącego słońca.

Może jakoś w ten sposób dołączy do pozostałych!

I czyż nie wyglądało na to, że teraz będzie się iść lepiej?

Kiedy wreszcie przeszedł przez skalny wał, kamienne zwałowisko ustąpiło miejsca pięknemu, wydającemu się być równym i pokrytemu zielonym mchem, podłożu i nasz majster podążył z westchnieniem ulgi w dół łagodnego zbocza. Jednakże zielone zbocze okazało się bardziej zdradliwe, niż wszystko do tej pory: miękka kołdra mchu rozpiniała się niczym zdradliwy pomost między jednym a drugim skalnym blokiem. Kiedy majster Gustaw stawał na niej uskrzydłony strachem, zarywała się ona pod nim i tak to lewą, to prawą nogą wpadał w ukryte szczeliny. To, że podczas tego wpadania w niezliczone, ukryte pułapki nie zламаł nogi, nie da się w naturalny sposób wyjaśnić. On sam także się nad tym nie zastanawiał. „Oby tylko precz stąd, tylko precz, w dolinę!” była to jedyna myśl, którą mógł wytworzyć jego rozgorączkowany mózg. A z jego ust wykradało się tylko czasem półgłośne westchnienie: „Maksik, mój kochany, dobry Maksik!” Od czasu do czasu odkorkowywał pomiędzy potknięciami swą obszytą skórą flaszkę i brał łyk piekącego „atramentu laborantów”. Jak długo tak się przebijiał w dół, sam z trudem mógłby ocenić. Musiało to trwać jednak już sporą chwilę, ponieważ zaczynało się troszeczkę zmierzchać. Na szczęście tego nie zauważył; nie zauważył nawet tego, że leśne podłoże powoli się poprawiało, że kamienie stawały się coraz mniejsze i rzadsze, jego noga zaś coraz rzadziej przerywała mchową kołdrę i zapadała się między kamieniami.

O wiele bardziej opadło go teraz z paraliżującym impetem nowe przerażenie: na kształt zielonego muru zagroził mu drogę gąszcz świerkowych gałęzi!

Próbował go obejść, jednakże brzeg zagajnika ciągnął się hen w górę i z prawej, i z lewej strony, a hasło majstra Gustawa było tylko jedno: „W dół, w dolinę!”

I teraz w obliczu tego drzewnego muru ogarnęło biednego majstra na długi moment paraliżujące odrętwienie. Po prostu padł bez sił na mech i pustym wzrokiem toczył dookoła. Najróżniejsze obrazy wcześniejszych strasznych wydarzeń i przeżyć przetaczały się w zamgleniu przed jego oczami, a dawno zapomniane męczarnie stały się znowu żywe. Nic w tym rozpamiętywaniu nie miało klarowności ani logicznego związku i w końcu cały ten nieład rozpadł się w impeccie jednej myśli: „Musisz iść dalej! Musisz!”

Skoczył więc jak oparzony znowu na nogi i wtargnął zdecydowanie w gąszcz kłujących gałęzi i suchych kikutów, zaś jego ucieczka w dolinę przekształciła się w prawdziwe parcie w dół na wzór walca, ponieważ musiał impetem swego pochylonego w przód ciała torować sobie ścieżkę. Szkocki tobół stał się dla niego tak wielkim utrudnieniem, że przez chwilę rozważał, czy nie powinien zrzucić go z pleców i pozostawić w lesie.

Potargany, podrapany, dysząc ciężko i szlochając cicho ze zdennerwowania i osłabienia, wyrwał się nareszcie ostatnią resztką sił z płataniny tego gąszczu i — zobaczył przed sobą w złocistej poświacie wieczoru szeroką, utwardzoną drogę leśną, prowadzącą ze spokojną stałością na dół, w dolinę.

Wtedy to z umęczonej piersi dobrego majstra Gustawa wyrwał się z elementarną siłą jęk ulgi. Upadł na usłany mchem brzeg niosącej ratunek drogi i płakał, płakał rzewnymi łzami jak dziecko.

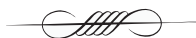
Czy znalazłby się ktoś, kto mógłby go łajać z powodu, iż jest miękki i niedostatecznie męski? Ten mężczyzna udowodniał i przedtem, i później swe wrodzone bohaterstwo na polu, gdzie toczono się nieustanne potyczki w powoli wyniszczającej walce z codziennymi przykrościami i trudnościami życia – bohaterstwo nieustannej pracowitości. Ale do tak bardzo od jego zwyczajnej drogi życia oddalonej tułaczki, w którą w końcu przekształciła się ta wyprawa śpiewaków, jego system nerwowy wcale się nie nadawał: kiedy teraz zobaczył przed sobą drogę tak pewną jak tory kolejowe, która wyprowadzała go z powrotem na opuszczoną po raz pierwszy w życiu, cichą trasę życia, wszystko zatrwajające, co ostatnie dni i przeżycia w czasie podróży złożyły ciężarem na jego piersi, razem z gryzącą troską o swoje dziecko, rozładowało się właśnie w owym strumieniu łez. Spływały w nim także całe pożądanie wzlotu i sukcesu oraz uwolnienie od tego, co chwilowo, tam na pełnej światła wysoczyźnie napełniało jego pierś dotąd nigdy nie zaznaną tęsknotą. Te myśli wydały mu się teraz grzechem przeciwko Opatrzności i było to jak wspomnienie z czasów przepojonej czytaniem Biblii szkoły, gdy nagle powstało w nim postanowienie na kształt przysięgi Jakuba: „Jeśli Pan Bóg zaprowadzi mnie i mego chłopaka w zdrowiu z powrotem do mojej niewiasty, to niech będzie to moja pierwsza ale i ostatnia podróż!”

I znalazł sposobność, by wypełnić to nieme ślubowanie!

Godzinę później wszedł do Jagniątkowa, dokąd bezbłędnie zaprowadziła go owa droga leśna. Tu zatroskana czereda śpiewaków i jego Maksik cały we łzach przed „Hotelem Beyera” zastanawiała się jeszcze, czy wracać jak najszybciej do domu, czy wziąć udział w już planowanych poszukiwaniach ich zaginionego towarzysza.

Wtedy, gdy majster Gustaw drząc trzymał za rękę swego skaczącego z radości chłopaka i uśmiechając się uprzejmie spoglądał

po kolei na każdego z pozostałych, skrywając się z pośpiechem za plecami innych śpiewaków przed ciekawskimi spojrzeciami wielu „letników”, których ten „osobliwy” przypadek tu zwabił, wtedy to właśnie jeszcze raz powtórzył i umocnił w duszy swe ślubowanie. I dotrzymał go sumiennie: ta podróż śpiewaków, podczas której tylko raz zaśpiewano, pozostała pierwszą i ostatnią podróżą majstra Gustawa.





**KARKONOSKA PAŃSTWOWA
SZKOŁA WYŻSZA
w Jeleniej Górze**

ISBN 978-83-61955-10-8